WIONOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 8 (386) 23 lutego 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jan Pipała

REALIA STUDENCKIEGO DZIAŁANIA

Bieżący rok akademicki bogaty był w społeczno-polityczne dyskusje. Zakres dyskutowanych problemów w środowisku akademickim sprowadzał się do dwóch wiodących: dotyczył głównie struktury i unowocześnienia uczelni oraz działalności ideowo-wychowawczej wśród studentów. W kwestii pierwszej wypowiadali się zwykle przedstawiciele świata nauki, postulując szereg zmian związanych z reformą szkolnictwa wyższego. Wynikiem wielu krytycznych postulatów w tym względzie stała się zmieniona przez Sejm ustawa o szkolnictwie wyższym.

Natomiast jeśli chodzi o zagadnienia wychowawcze oraz rolę organizacji studenckich, wymiana myśli kończyła się z zasady na zgodnym konstatowaniu potrzeby wzmożenia ofensywy ideowo-politycznej wśród studentów. Nie podjęto jednak w tych rozważaniach szczegółowych, praktycznych przedsięwzięć, poprzez które można najlepiej realizować cele socjalistycznego wychowania.

Skądinąd wiadomo, że sprawy te nie należą do prostych i łatwych. Tym bardziej, jak mi się wydaje, wymagają one wnikliwego, systematycznego analizowania przez aktyw studencki stanu pracy politycznej z młodzieżą nie w kategorii ogólnej, lecz w kontekście bieżących zadań każdego koła i zarządu studenckiego ZMS czy ZMW. Gotowych, roboczych koncepcji pracy politycznej nikt bowiem nie przekaże w prezencie organizacjom studenckim. Potrzebny jest więc w tym względzie odpowiedzialny, autentyczny głos samych studentów oraz ich działaczy.

Praktycznych rozwiązań, dotyczących pracy ideowo-politycznej wśród studentów nie dadzą też najlepsze ustawy czy wytyczne władz naczelnych ZMS czy ZMW. Mogą one dać jedynie (taka jest ich intencja) ogólną orientację dotyczącą kierunków ideowej ofensywy wśród młodzieży akademickiej. Przełożenie ich zaś na język praktycznych poczynań, uwzględniających specyfikę danej uczelni, wydziału czy roku, należy do zadań zarządów i kół organizacji studenckich ZMS i ZMW. Sądzę że najistotniejszym obecnie impulsem do konstruktywnych przemyśleń dotyczących zadań wychowawczych studenckiego ZMS i ZMW jest bogata treść uchwały V Zjazdu PZPR. Zawarte w uchwale zadania w sprawach polityczno - wychowawczych, organizacyjnych, naukowych i bytowych muszą teraz przekształcić się w formę konkretnych poczynań całego środowiska studenckiego, jego organizacji.

Warto tu postawić pytanie: jaką siłę reprezentuje ZMS w uczelniach rzeszowskich?

W sensie organizacyjnym ZMS stanowi pokaźną armię ludzi. W 42 kołach na WSI i WSP ZMS zrzesza ponad 1200 studentów, w tym około 900 na WSP. Istnieje jednak — taka jest opinia Wydziału Studenckiego ZW ZMS — brak prężnych grup aktywu tej organizacji na uczelniach. Osobiście utwierdzałem się w takiej opinii będąc niedawno na szkoleniowym zgrupowaniu aktywu uczelnianego ZMS w Foluszu k. Jasła. Zbyt wielu tu jest statystów, a mało organizatorów pracy wśród studenckiej społeczności. Sądzę, że poważna rezerwa tak potrzebnego aktywu tkwi wśród tych studentów, członków ZMS, którzy są jednocześnie członkami partii na uczelniach. Obecnie wielu studentów, członków partii nie przejawia aktywności w ruchu młodzieżowym. A przecież aktu wstąpienia do partii studenci, członkowie ZMS nie mogą traktować jako swoistego „wyzwolenia" się od pracy w organizacjach młodzieżowych. Uchwała V Zjazdu PZPR w tej kwestii stwierdza: „Młodzi członkowie partii powinni nadal czynnie uczestniczyć w działalności macierzystych organizacji młodzieżowych". Dotyczy to także środowiska studenckiego i każdej organizacji młodzieżowej.

Na wspomnianym obozie aktywu studenckiego w Foluszu spotkałem się m. in. z poglądem, że studentów, którzy urodzili się w Polsce Ludowej do socjalizmu przekonywać nie trzeba, że socjalizm jest dla nich rzeczą oczywistą. Takie rozumowanie mnie nie przekonuje. Osobiście uważam, że studentów, podobnie jak całą młodzież — przekonywać, a przede wszystkim uczyć socjalizmu trzeba! W socjalizm nie wystarczy tylko wierzyć. Realia bowiem współczesnej Polski wymagają nie biernej akceptacji socjalizmu, lecz określonej aktywnej postawy obywatelskiej w praktycznym życiu. Takie pojęcia, jak „walka klasowa", „zaangażowanie", „patriotyzm" „internacjonalizm", „rewizjonizm" przełożyć należy na język zrozumiały i jednoznaczny politycznie dla każdego młodego człowieka, w tym również i studenta.

Dobrą płaszczyzną do takich dyskusji oraz konfrontacji stanowisk i postaw są studenckie ośrodki dyskusyjne ZMS. Na WSP jest ich 3; jeden dla aktywu szczebla uczelnianego oraz dwa dla aktywu wydziałowego. Brak zaś tej sprawdzonej formy pracy politycznej ZMS na WSI. W każdej swej inicjatywie organizacje uczelniane winny widzieć cel nadrzędny swego działania — ideowe socjalistyczne wychowanie studentów. W realizacji tego celu nie spełni na pewno pozytywnego zadania odczyt lub wykład organizowany tylko według tego, jakiego prelegenta najłatwiej zaprosić a nie wedle potrzeb i zainteresowań młodzieży. Praca ta wymaga programowania. W moim rozumieniu, koncepcja pracy politycznej wśród studentów winna aktualnie wypływać z treści Uchwały V Zjazdu PZPR oraz uwzględniać potrzebę wyjaśniania tych wszystkich błędnych poglądów, jakie u części studentów ujawniono wiosną roku ubiegłego. Tych potrzeb nie zdezaktualizowało życie. Tak jak w skali uczelni ustala się plan nauczania, tak należałoby chyba ustalić plan oddziaływania wychowawczego i realizować go na równi z programem nauczania. W tym może się sprawdzić teza o niepodzielności nauczania i wychowania socjalistycznej uczelni. W rozważaniach o politycznym ruchu studenckim niektóre tematy nie schodzą od lat z zakresu przemyśleń. Podnoszone są one jednak w hasłowy, ogólny sposób przez aktyw studencki. Np. obecnie ów ogólny kierunek rozważań sprowadza się do ogłoszenia konieczności pogłębienia pracy ideologicznej wśród studentów. Nikt temu nie oponuje ani w potrzebę tej pracy nie wątpi. Zapomina się tu natomiast o roboczej analizie konkretnych potrzeb, doświadczeń i możliwości w tej materii. O tym, jakie dyskusje podejmować na zebraniach kół ZMS i ZMW, jak do tej pracy wykorzystać kluby studenckie, skrzynki „pytań i odpowiedzi" spotkania studentów z przedstawicielami władz, zajęcia SOD, jak podjąć współpracę ze środowiskiem robotniczym czy wiejskim itp. Praca polityczno-wychowawcza nie może być przypadkowa, musi być właściwie programowana przez istniejące potrzeby środowiska. Nie chodzi też o nieustające przekonywanie się do rzeczy oczywistych i koniecznych, lecz o praktyczny sposób wprowadzenia ich w rytm życia. Stwierdzić tu jednak wypada, że najdoskonalsza nawet praca polityczna organizacji studenckich nie rozwiąże wszystkich spraw wychowawczych uczelni. Organizacje studenckie stanowią bowiem tylko jeden z wielu elementów tworzących front wychowawczy uczelni, realizowany pod kierownictwem organizacji partyjnych. Dlatego Uchwała V Zjazdu PZPR niedwuznacznie mówi: „Szkoła wyższa powinna współdziałać z ZMS, ZMW i ZSP w realizacji zadań polityczno - wychowawczych w rozwijaniu działalności kół naukowych oraz organizowaniu życia kulturalnego i wypoczynku młodzieży".

Myślę, że istniejące obecnie zainteresowanie młodzieży zagadnieniami politycznymi stanowi okazję, by zostało ono wykorzystane przez ruch młodzieżowy dla autentycznego zaangażowania studentów w sprawy bieżącej polityki partii, w sprawy socjalizmu. Podstawowa rzecz — moim zdaniem — tkwi dziś w tym, aby obecnie po V Zjeździe PZPR, organizacje studenckie dały odpowiedź na pytanie: jak najskuteczniej można to zaangażowanie osiągnąć w warunkach uczelni, wydziału i roku? Konkretnej odpowiedzi w tej materii udzielić musi sam aktyw studencki.

Fot. M. KOPEĆ

Bez sensacji o upowszechnianiu kultury plastycznej

(Rozmowa z kierownikiem Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie — mgr JÓZEFEM GAZDĄ

Jeden z najpiękniejszych obrazów na świecie „Sąd Parysa" Rubensa przeleżał się w szopie przez 20 lat. 80-letnia Angielka Ewa Savage właścicielka obrazu nie orientowała się w jego wartości. Obraz kupił jej mąż z zawodu ramarz w 1933 roku na bazarze za 10 szylingów.

Chyba nikt nie ma pretensji do żony ramarza gdy ignorantami okazali się eksperci, którzy przypisali ten obraz mało znanemu kopiście angielskiemu.

JÓZEF GAZDA — Kwiaty — linoryt

Jestem przekorny wspominając o tym najbardziej sensacyjnym odkryciu artystycznym ostatnich lat. Ale przecież nasza rozmowa dotyczy wciąż — tak bym to określił — wstydliwego tematu „upowszechniania kultury plastycznej".

— Jest pan przedstawicielem placówki, która nam — odbiorcom, ułatwia nawiązanie kontaktów z osobowością twórcy, z jego pracą. Dla nas dyletantów radość obcowania z dziełem sztuki, jego „odkrycie" niezależne jest od zamierzeń artysty. Ale BWA powołana jest również do kształcenia świadomego odbiorcy. Sądzę, że wystawy malarstwa, rzeźby i grafiki są jednym z głównych źródeł konfrontacji zamierzeń twórcy i odczuć odbiorcy. Może więc na wstępie pare słów o tych konfrontacjach?

— Istotnie, stosunek jednostki do twórcy, do jego dzieła ma tak niedwuznaczny sens, jak czytelnika do autora prozy czy poezji, widza do aktora. Żaden z twórców nie lekceważy „odkryć" dyletantów bez względu na stosunek artysty do rzeczywistości, do „konsumenta", i niezależnie czy jego praca budzi zachwyt, oburzenie, radość, obojętność. Dlatego każdy plastyk przywiązuje tak dużą wagę do wystaw indywidualnych. Proszę mi darować, ale nie mogę zrezygnować z pewnej „statystyki". Jest wymowna.

BWA rozpoczęło swą działalność na terenie Rzeszowa i województwa w 1962 roku przygotowując 32 wystawy, które oglądnęło 79 tys. osób. W 1965 roku otrzymaliśmy dwie piękne sale wystawowe w nowym Domu Sztuki i zorganizowaliśmy 78 wystaw indywidualnych i zbiorowych, które zwiedziło 59 tys. widzów. Szokujący jest tu spadek frekwencji, tym bardziej, że w latach 1965-67 w Domu Sztuki w Rzeszowie, wystawiają plastycy z całej Polski, a pokaźny procent stanowią ekspozycje członków Rzeszowskiego Okręgu ZPAP. Są to również pokłosia plenerów zorganizowanych dla rzeszowskiego środowiska plastycznego przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych i zakłady pracy. W tych latach, organizowaliśmy również ogólnopolskie wystawy malarstwa „Jesienne konfrontacje", pierwsze tego rodzaju ekspozycje w okresie powojennym w Rzeszowie.

Być może, że jeszcze niedoskonałe były nasze formy organizacyjne i artystyczne upowszechniania kultury plastycznej wśród najszerszego kręgu odbiorców. Wyniki naszej działalności wyraźnie się jednak ujawniły w 1968 roku — 83 wystawy zwiedziło prawie 170 tys. widzów. Warto podkreślić, że 49 wystaw zostało zorganizowanych w terenie.

— Wspominaliśmy o świadomym kształceniu odbiorcy. Jakie więc jeszcze inne formy?

— Statutowym obowiązkiem BWA jest upowszechnianie współczesnych sztuk plastycznych poprzez organizowanie wystaw, o czym już mówiłem. Placówka nasza nie rezygnuje jednak z różnorodnych form. Organizujemy np. akcje oświatowe obejmujące prelekcje, odczyty tematycznie związane ze sztuką, a także spotkania autorskie celem nawiązania z odbiorcą bezpośredniego kontaktu. W ubiegłym roku odbyły się 33 takie odczyty i spotkania z udziałem artystów eksponujących na wystawach swe prace. Wzięło w nich udział prawie 2 500 słuchaczy. W tych ostatnich latach, działalność BWA objęła 27 miejscowości, w 46 takich placówkach, jak: powiatowe i zakładowe domy kultury, kluby fabryczne, garnizonowe, biblioteki, muzea, kluby „Ruchu". Nie na tym jednak kończy się nasza działalność. Prowadzimy również akcje wydawnicze: katalogi, składanki, afisze

— Wzrostowi uczestnictwa coraz szerszych kręgów społeczeństwa w życiu kulturalnym towarzyszą intensywniejsze i szybsze niż dotąd przemiany w sposobach uprawiania twórczości, w koncesjach i formach wyrazu.

Chodzi mi o pewien dorobek plastyków rzeszowskich, który dzisiaj posiada już wartość historyczną.

— BWA opierając się na „Programie rozwoju kultury województwa" prowadzi regularne zakupy dzieł sztuki. W ubiegłym roku zakupiliśmy 46 prac ocenionych na 191 tys. złotych. Zgromadzone zbiory mają zapoczątkować Rzeszowską Galerię Współczesnego Malarstwa. Zbiór ten obejmuje w tej chwili 155 dzieł. Niestety, brak odpowiedniego pomieszczenia nie pozwala udostępnić społeczeństwu tego dorobku twórców.

— Zawsze wielkie indywidualności — nazwiska działają jak magnes urokiem swojej osobowości. Dlatego wystawa grafiki Pabla Picasso czy „Współczesnego malarstwa francuskiego" w Rzeszowie (75 prac najbardziej cenionych we Francji nazwisk) czyni z naszego miasta nie tylko poważny ośrodek kultury plastycznej w kraju, ale stały się poważnym środkiem propagandowym plastyki. Sądzę, że nie zrezygnujecie z tych atutów?

— Mamy wszystkie możliwości uzyskiwania takich wystaw i w przyszłości będziemy zabiegać o takie ekspozycje na równi z Warszawą i Krakowem.

— Trudności?

— Dwie sale wystawowe w Domu Sztuki w Rzeszowie zaliczane są do najefektowniejszych w kraju. Dowodzą tego propozycje ze strony twórców zagranicznych i najprężniejszych ośrodków w kraju. Trudno jednak w pełni wykorzystać te możliwości, z powodu braku magazynów.

— Życzenia...?

— Aby prasa i radio więcej miejsca poświęcały popularyzacji plastyki.

— Bijemy się w piersi, ale przyzna pan, że trudno być dla wszystkich jedynym „Salomonem".

Życzymy więc długich „ogonków" na wystawy do Rzeszowskiego Domu Sztuki.

Rozmawiał: E. GAJEWSKI

Bydgoski Sejm Literatury

Chociaż od XVII Zjazdu Delegatów Związku Literatów Polskich upłynęły już dwa tygodnie, jego przebieg i problematyka nadal stanowi główny ośrodek zainteresowań naszej prasy literackiej. Ostatnie numery „Kultury", „Życia Literackiego", „Współczesności" przynoszą szereg ważnych wypowiedzi z trybuny zjazdowej, relacjonują bydgoskie dyskusje, uchwały, wnioski.

XVII Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich odbywał się u progu obchodów 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nic też dziwnego, że temat dorobku naszej literatury, jej osiągnięć twórczych w ostatnim ćwierćwieczu przewijał się przez wiele wystąpień, znajdując szczególnie głębokie i piękne ujęcie w głosach dyskusyjnych Juliana Przybosia, Wacława Kubackiego i Stefana Otwinowskiego. Znakomity poeta, tak blisko związany z województwem rzeszowskim — Julian Przyboś — sięgnął do wspomnień z roku 1944, kiedy podróżując samolotem z Lublina do Zamościa wiózł przeznaczone do druku pierwsze dwa zbiory poetyckie inaugurujące działalność wydawniczą w dziedzinie literatury pięknej na wyzwolonych terenach Ludowej Ojczyzny. Wspominał uchwalenie historycznych ustaw Krajowej Rady Narodowej o wydaniu dzieł Mickiewicza, o powszechnym obowiązku zakładania bibliotek publicznych; przekonywająco i żarliwie mówił o sojuszu pracy ze sztuką, o potrzebie rozwoju literatury uwspółcześnionej, owłaściwym pojmowaniu roli krytyki literackiej w naszym czasopiśmiennictwie.

„W oczach starszego pokolenia — które pamięcią sięga o pół wieku wstecz — powiedział Julian Przyboś — ten obraz Polski kulturalnej wydaje się cudownie spełnionym marzeniem poetów i społeczników".

W dalszym ciągu swego przemówienia autor „Równania serca" ciekawie scharakteryzował nurt pamiętnikarski (tak znamienny przecież dla Rzeszowskiego, z którego wywodzi się tylu piszących „chłopskim piórem"), nurt, który dopiero w Polsce Ludowej rozkwitł barwnie i szeroko. Przedstawiając osiągnięcia ruchu recytatorskiego, sojusznika i niezwykle aktywnego propagatora literatury, przytoczył Julian Przyboś przykład rolnika z Przemyskiego, co kiedy idzie za pługiem, to mu lżej, gdy sobie „przepowiada wiersze".

Piękny esej Juliana Przybosia, który w zastępstwie chorego Jarosława Iwaszkiewicza — rozpoczął zjazdową dyskusję, nadał całym obradom ton powagi, głębokiej refleksji, pełnej odpowiedzialności za słowo. Trzeba przyznać, że cały Zjazd Bydgoski cechowała atmosfera rzeczowości, rzetelnej troski o losy literatury, dążenia do integracji naszej społeczności pisarskiej. Tym razem odsunięto na plan dalszy polemiki i spory, osiągając porozumienie w sprawach najsłuszniejszych.

Obok obszernego, wysłuchanego z głęboką uwagą przemówienia sekretarza Komitetu Centralnego PZPR — tow. Stefana Olszowskiego, ważnym momentem obrad była informacja Jerzego Jurandota, który zrelacjonował spotkanie z prezesem Rady Ministrów — Józefem Cyrankiewiczem przedstawicieli prezydium Zarządu Głównego ZLP.

Jak wynika z ostatnio prowadzonych rozmów, można się spodziewać, że w najbliższym czasie zostaną wprowadzone w życie dalsze zarządzenia, zmierzające do poprawy sytuacji pisarza w naszym kraju, zwłaszcza w dziedzinie normalizacji umów wydawniczych i ochrony praw autorskich. Na podkreślenie zasługuje fakt, że już wkrótce rozpocznie się w Młocinach pod Warszawą budowa Domu Zasłużonego Twórcy, gdzie znajdą dach nad głową i opiekę starsi, często pozbawieni zaopatrzenia emerytalnego pisarze.

Rezolucja XVII Zjazdu Delegatów Związku Literatów Polskich głosi: „W tradycji piśmiennictwa polskiego leży utożsamienie losów pisarza z losem narodu. Pisarze polscy dzielić więc będą zawsze troski i dążenia narodu polskiego, w jego dziele budowania socjalistycznej ojczyzny, w dziele pomnażania sił twórczych, w zapewnieniu należnego jej miejsca wśród narodów świata". Sądzę, że słowa te stanowią dostatecznie przekonywający i wyrazisty dowód, że cenny, jeśli idzie o wymiany poglądów, konfrontacje i wnioski, pracowity i budzący nadzieje XVII Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich zasłużył sobie na uroczyste miano Bydgoskiego Sejmu Literatury.

Uzasadnionym optymizmem napawa coraz pełniejsze porozumienie środowiska pisarskiego ze społeczeństwem. Dowiódł tego udział w Zjeździe przedstawicieli Kopalni „Rymer" z Rybnickiego Okręgu Węglowego, FSO na Żeraniu, Huty im. Lenina, wrocławskiego PAFAWAG-u i Bydgoskich Zakładów Chemicznych, potwierdzenie potrzeby kontynuowania akcji spotkań z czytelnikami znaleźliśmy w 56 zakładach pracy województwa bydgoskiego. Ponad 150 pisarzy, delegatów i uczestników Zjazdu oraz gości zagranicznych ze Związku Radzieckiego, Bułgarii, NRD, Rumunii i Węgier — miało okazję do podjęcia dialogu z klasą robotniczą na tematy literatury współczesnej, dialogu szczerego, bezpośredniego, autentycznego, z pewnością bardzo pożytecznego dla obydwu stron.

Wyrażam przekonanie, że nowy okres w życiu Związku Literatów Polskich, dla którego ważną cezurą stał się Bydgoski Sejm Literatury przyniesie poprawę warunków i ożywienie działalności wszystkim ośrodkom naszego kraju, wśród nich — młodemu środowisku pisarskiemu Rzeszowa i województwa rzeszowskiego.

JERZY PLEŚNIAROWICZ
delegat Rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich na XVII Zjazd ZLP

Przed 200 rocznicą urodzin Beethovena

W przyszłym roku cały świat obchodzić będzie 200 rocznicę urodzin Beethovena. Przygotowania do jubileuszu trwają już w szeregu krajów. Szczególnie uroczyście obchodzona będzie ta data w NRD. Wytwórnia „Eterna" wypuści serię długogrających stereofonicznych płyt z nagraniami wszystkich utworów Beethovena. Będzie to największa edycja nagrań twórcy IX Symfonii: do końca 1970 r. ukażą się wszystkie podstawowe dzieła L. v. Beethovena na 80 płytach, a wciągu 2 dalszych lat — następnych 20 płyt z mniej znanymi jego utworami. Wykonawcami będą najlepsi soliści, orkiestry i dyrygenci świata. (Kt - PAP)

Krystyna Świerczewska

Reportaż szpachlą pisany

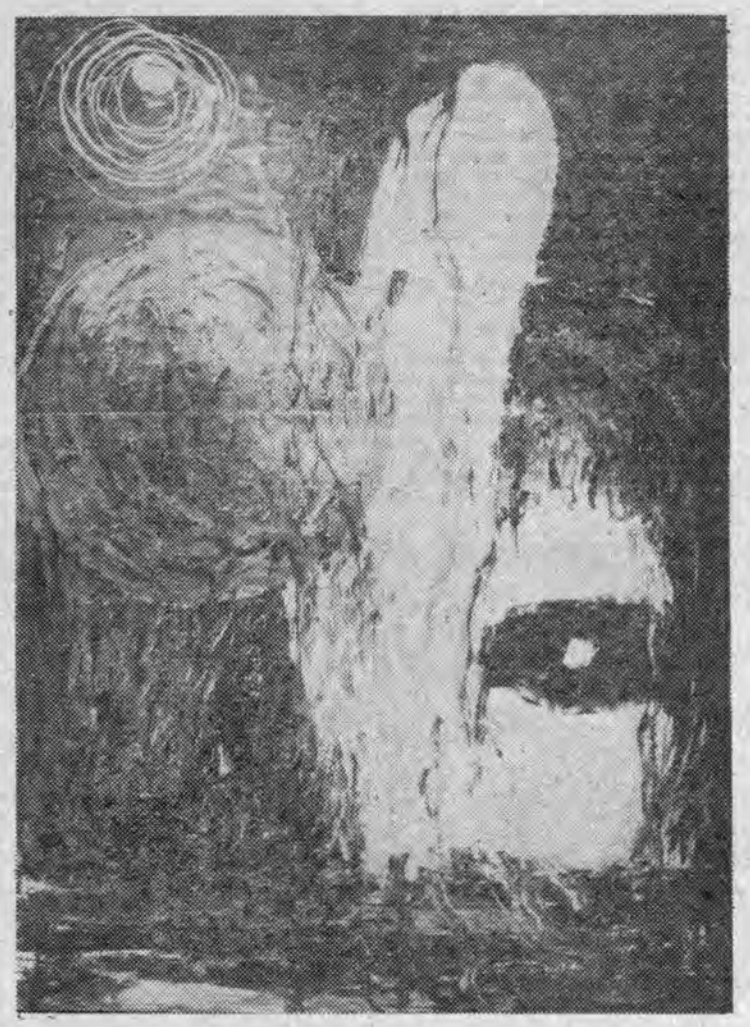

JERZY SIENKIEWICZ — karnawał

Jerzy Sienkiewicz lubi opowiadać na spotkaniach z czytelnikami o swoim pierwszym honorarium, które otrzymał w 1938 roku i wynosiło 25 złotych polskich przedwojennych. Miał wtedy lat 13 i zabawiał się rysunkiem satyrycznym; ponieważ tematem nr jeden Europy był parasol Chamberlaine'a — Sienkiewicz rysował polityka z parasolem w imię świętej pasji nastoletniego pacyfisty. Robił to widać tak dobrze, że krakowskie „Tempo dnia" zamieściło rysunek, Antoni Wasilewski — ówcześnie naczelny redaktor „Wróbli na dachu" zachęcał do pracy, a liczni malarze, ściągający w gościnne progi krakowskiego domu Sienkiewicza — ojca stwarzali klimat do pierwszych, samodzielnych poszukiwań.

Kiedy wspomina ten okres, złośliwość Jacusia Rzeszowiaka podszeptuje mu, że niewiele zmieniło się w honorariach na ilość nowych złotówek; poszukiwania jednak od tamtej pory czynione niemal bezustannie ustawiają go w rzędzie najczynniejszych rzeszowskich plastyków — wiecznie ciekawych świata i jego malarskich odpowiedników.

Sienkiewicz rysuje masami. Żeby sprostać zamówieniom, jakie stawia się grafikowi redakcyjnemu, Sienkiewicz musi mieć w sobie ten dar naturalnej łatwości rysowania, wyobraźnię i pracowitość; pod rękę z nimi tworzy swoje winiety, rysunki, karykatury. I to jest jedna strona jego twórczości — dziennikarska, reporterska, z życiem chwytanym na gorąco, przepojona aktualnością, zamówieniem chwili, doraźnym zapotrzebowaniem społecznym. Nie ma potrzeby udowadniać, że robi to niemal tak długo, jak długo już wychodzą „Nowiny Rzeszowskie", że bardzo szybko zrezygnował z innych prac, w tym z pracy pedagoga, którą uprawiał w Sędziszowskim Liceum, na rzecz prasowego rysunku.

W tle jednak tej reporterskiej gotowości tuszu i ołówka — ukrywa się Sienkiewicz inny, malarz, grafik uprawiający z zapałem sztukę monotypii, wieczny poszukiwacz nowych form plastycznych. Kiedy obserwuję Sienkiewicza po latach, na jego siódmej już indywidualnej wystawie malarstwa w Domu Sztuki, nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, że toczy się równolegle obok jego twórczości proces walki zawodu z powołaniem, który to proces właściwie tę twórczość inspiruje. I zdaje mi się, że nie sposób byłoby tę wystawę oglądać bez wiedzy podstawowej o codziennym zajęciu Sienkiewicza — rysunkowego reportera .

Właśnie jak rasowego reportera — interesuje go człowiek, nade wszystko człowiek. Mądry i głupi. Rozumny i płochy. Piękny i mało urodziwy. Próbuje go oglądać ze wszystkich stron i we wszystkich jego przymiotach, przywarach. Oglądając, czyni pośpieszny zapis, jakby przestraszony, że za chwilę straci kontrolę nad oglądanym wnętrzem. Nie pieści się z formą. Technika zdradza go natychmiast: po raz pierwszy sięgnął po farby drukarskie, niemal nie używając pędzla, posługując się wałkiem i szpachlą, grubym chlapnięciem farby ostrej w kolorach brzydkiej, surowej, oddawał owe wrażenia pierwsze, zamysł literacki. I cóż powstało? Najpierw parę niedobrych, surowych kolorystycznie głów. Właściwie mógł był je podarować widzowi wystawy— zostawił jednak zapewne po to, żeby ów widz zobaczył, jakim materiałem opornym, jaką ograniczonością skali barw dysponował. Po to, by pokazać ze szczerością rozbrajającą początki nieudolne i końcowy efekt — taką np. „Starość", którą rozegrał bezbłędnie i w formie i w kolorze, udowadniając, że ani trochę nie gorsza owa farba drukarska od francuskich czy holenderskich doskonałości.

Interesuje go realistyczny portret, twarz wymyślona i obmyślona w wyrazie, podbudowana nawet elementem surrealistycznym — takie są dwie „Płomienne", w których kolorystyka schodzi na dalszy plan przed wyobraźnią, psychologicznym nastrojem.

Intresuje go świątek, Nikifor, malarstwo naiwne i są dwie prace tak wyraźnie inspirowane ludowością, że aż pomieścił je razem, jakby dla podkreślenia klimatu, w którym je pomyślał.

Interesuje go ruch, dynamika — więc tworzy swoje „Karnawały", kilka nierównych obrazów, z których jeden niecierpliwym chlaśnięciem żółci przekreśla walory ruchu.

Zupełnie już z innego wymiaru są pejzaże, malowane jakby dla podkreślenia, że człowiek żyje w konkretnym świecie. Jest w nich nastrój, klimat rzeszowskiej połaci pięknej ziemi, zanadto urodziwej, żeby jej nie dostrzec w ogóle.

I są na tej wystawie dwa obrazy pokrewne kolorem, gdzie Sienkiewicz pokazał technikę kolorysty dojrzałą, przemyślaną, w której sięgnął po tradycyjny sprzęt malarski: „Człowiek z fajką" i „Pani X". Rozegrane w tej samej tonacji żółto-brązowej, delikatne w rysunku, tkliwie traktujące być może wyimaginowanego modela są zwycięstwem malarza Sienkiewicza nad Sienkiewiczem — reporterem.

I choć do tego specjalnie nie dążył, by nas epatować tym odkryciem, choć przewrotnie pomieszcza na pierwszym planie wystawy przeniesioną środkami malarskimi, dziennikarską karykaturę znanego architekta, w której z wrodzonym sobie humorem brzegi uszów zaplanował na wąskiej listewce ramy — choć właśnie środkami technicznymi podkreśla swoje związki z pracą — widzę na tej wystawie najpierw malarza o reporterskich inklinacjach. Malarza ani na chwilę nie oderwanego od rzeczywistości, wyczulonego na tę rzeczywistość do granic absolutnych, niecierpliwego, pośpiesznie notującego zobaczoną godzinę, minutę ulatującą. I widzę w tym sens, konsekwencję, urodę: pracy szybkiej, gwałtownie reagującej na świat.

Zaś po tej wystawie, wracam do domu i kładę przed sobą maleńką, olejną martwą naturę Sienkiewicza, gdzie gruszkę z jabłkiem pomieścił na skrawku granatowej draperii — i patrzę sobie na ten dawno darowany mi obrazeczek z pierwszych lat, jeszcze akademickich, gdzie mu mistrzami byli Fedkowicz, Rzepiński, Cybisowa i zastanawiam się, jaką drogę przebył Sienkiewicz od wspaniałości tego akademickiego malarstwa do jego dzisiejszej reporterskiej dojrzałości? Jaka długa ona jeszcze przed nim? Co znowu zobaczymy? Zapowiada drzeworyt i linoryty. I zapowiada, że nic co martwe — nie będzie mu bliskie. Ano zobaczymy.

Marian Janiga

Wcześniejsze zapisy do klasy pierwszej

PROBLEM DOJRZAŁOŚCI SZKOLNEJ

Od ubiegłego roku w miesiącach lutym, marcu i kwietniu prowadzone są we wszystkich szkołach podstawowych naszego województwa zapisy dzieci do klasy I. Początkowo wcześniejsze zapisy do szkoły połączone z badaniem dojrzałości szkolnej prowadzone były w kilku szkołach pod fachową opieką pracowników pedagogicznych z poradni wychowawczo - zawodowych. W ubiegłym roku po raz pierwszy Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie wprowadziło ten sposób oraz zapewniło odpowiednie formularze zwane „kartą zapisu dziecka" wszystkim szkołom w województwie. Ponieważ sprawy te wywołują powszechne zainteresowanie, kilka uwag na ten temat.

Powstaje najpierw pytanie dlaczego zapisy dzieci przeprowadza się tak wcześnie, bo już w lutym, a nie w czerwcu jak to było przedtem. Chodzi o to, aby podczas zapisów zorientować się, które dzieci nie posiadają pełnej dojrzałości szkolnej i dla nich organizuje się tzw. „zespoły wyrównawcze" lub „ogniska wyrównawcze". Zadaniem jednych i drugich jest zorganizowanie dla przyszłych uczniów klas pierwszych zajęć, które pobudzają rozwój intelektualny, społeczny i emocjonalny, szczególnie tych dzieci, które nie miały w domu warunków sprzyjających prawidłowemu dojrzewaniu do podjęcia obowiązków szkolnych. Na czoło tych zajęć wysuwa się wdrażanie do prawidłowego spostrzegania, poznawania nowych rzeczy i słów, prowadzenia celowej obserwacji, analizowania, syntetyzowania, przechodzenia od konkretu do symbolu słownego, różnicowania wielkości, ujmowania stosunków w przestrzeni i czasie itd. Zespoły wyrównawcze lub ogniska wyrównawcze organizowane są przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci przy istniejących przedszkolach lub szkołach podstawowych. Skierowane do zespołów lub ognisk dzieci uczęszczają przez okres trzech lub czterech miesięcy po dwa trzy razy w tygodniu.

Z tego wynika, że istotę nowych zapisów dzieci do klasy pierwszej jest wcześniejsze poznanie dziecka, jego warunków środowiskowych i zdrowotnych, zastosowanie racjonalnej pomocy dla dzieci, które tego wymagają, aby przez to wyrównać ich start życiowy, a przez to zlikwidować wiele źródeł przyszłych niepowodzeń i w konsekwencji zmniejszyć poważnie drugoroczność. Nowy sposób zapisów dzieci do szkoły może być połączony z badaniem dojrzałości szkolnej. Jest to tzw. poszerzony sposób zapisu i jest organizowany w tych powiatach, w których działają poradnie wychowawczo-zawodowe udzielające w tym względzie poszczególnym szkołom instruktażu.

Przy nowych zapisach mówi się często o dojrzałości szkolnej lub o jej braku. Pojęcia te wymagają wyjaśnienia. W psychologii i pedagogice problemem dojrzałości szkolnej zajmowano się od wielu lat, o czym świadczyć może dość obszerna literatura jaka ukazała się na ten temat. Problem ten jest wciąż żywy i aktualny, szczególnie obecnie, gdy tak wiele mówi się o przyśpieszonym rozwoju dziecka na skutek szybko zmieniających się warunków współczesnej cywilizacji, a zwłaszcza pod wpływem działania takich bodźców jak książka, radio, telewizja, film. Fakt szybkiego rozwoju współczesnego dziecka zmusza nas do nowego spojrzenia na problem dojrzałości szkolnej. Daje się bowiem wyraźnie zauważyć różnice między tymi dziećmi, które mają dostęp do wspomnianych źródeł przekazu informacji, a tymi, które tych możliwości nie mają.

Przez dojrzałość szkolną rozumie się ten moment w rozwoju dziecka, kiedy jest już ono zdolne sprostać wymaganiom szkoły, a więc — moment równowagi między wymaganiami szkoły a możliwościami rozwojowymi dziecka. Problem dojrzałości szkolnej nasuwa szereg wątpliwości i trudności zarówno teoretycznych, jak i praktycznych. Pierwsza z nich — to trudność określenia, kiedy w rozwoju dziecka pojawia się ten moment, w którym dziecko można już uznać za dojrzałe do nauki szkolnej. Okazuje się bowiem, że w wielu krajach obowiązek szkolny obejmuje dzieci w różnym wieku: od 5 roku życia (Anglia i Szwajcaria) do 8 (niektóre stany w USA). W niektórych szkołach w Warszawie w formie eksperymentu zaczęto przyjmować dzieci po ukończeniu 6 roku życia. Z dotychczasowych obserwacji losów tych dzieci wynika, że pod względem osiągnięć w nauce dorównują one swoim 7-letnim kolegom, różnią się natomiast zachowaniem. Są to jednak opinie oparte na potocznej obserwacji. Odpowiedź na pytanie: kiedy dziecko ma rozpocząć naukę, czego i jak ma się uczyć, można będzie dopiero znaleźć po przeprowadzeniu szerszych badań na ten temat.

Uproszczony i bardzo dogodny sposób badania dojrzałości szkolnej został opracowany przez Okręgową Poradnię Wychowawczo-Zawodową w Rzeszowie i upowszechniony w ubiegłym roku na terenie całego województwa. W tym celu wydano drukiem m. in. obszerną instrukcję dla nauczyciela - wychowawcy klasy I. Kartę tę wypełnia wychowawca klasy pierwszej, do której od nowego roku szkolnego dziecko będzie uczęszczało.

Rozmowa z rodzicami podczas zapisów daje również im samym orientację o stopniu rozwoju ich własnego dziecka, pozwala im lepiej poznać własne metody wychowawcze, stosowane wobec dziecka, jak również uświadomienia im jakie są możliwości zaspokajania przez nich samych podstawowych potrzeb dziecka. Karta Zapisu Dziecka zwraca uwagę rodziców na te sprawy, którym oni sami nie nadają zawsze należytego znaczenia. Wypełnianie karty daje wychowawcy możliwość do udzielenia rodzicom wstępnych wskazówek, jak należy w domu postępować z dzieckiem, aby go właściwie przygotować do szkoły. Na zakończenie trzeba podkreślić, że nowy sposób zapisów spotkał się z dużym uznaniem tak ze strony nauczycieli-wychowawców, jak i ze strony zainteresowanych rodziców.

STANISŁAW MYŚLIŃSKI
Z JEDNEJ MENAŻKI

TOWARZYSZOM BRONI — ŻOŁNIERZOM ARMII RADZIECKIEJ W DNIU ICH ŚWIĘTA TE WSPOMNIENIA POŚWIĘCAM

ODWROTY I POWROTY

...Wciąż w drodze.

Za nami widnokrąg w purpurze płomieni i chmury dymu — to Rostow, miasto zieleni w mękach konania.

Mrok otulał stanicę Kiereńską, która przyjęła nas zmęczonych drogą i nieznośnym lipcowym upałem. Lecz noc nie była łaskawszą od tamtych, poprzednich.

„Bateria, ku boju..." — poderwała nas o północy ostra komenda.

Nie oszczędzaliśmy pocisków. Okazja, jakże oczekiwana: przed lufą wróg... Więc pocisk za pociskiem za te spocone plecy, upokorzenie odwrotu...

W działonach ciężko. Z każdego po dwóch ubezpiecza baterię od dywersantów, co kryją się gdzieś wśród sadów i domów. A skrzynki z pociskami na przyczepach kilkanaście metrów od dział. I oto pomoc. Najmniej spodziewana — kołchozowe dziewczęta...

Nareszcie! Czarne cielska na lśniących gąsienicach zawróciły tam, skąd wypełzły. Jeden znieruchomiał w kłębach dymu. Lecz tamte nie zostały dłużne i po krótkiej chwili znowu ukazały się dalekim błyskiem płomieni.

„Pierwszy działon osłaniać odwrót, pozostałe: odbój..."

Pozostał pierwszy działon, by grzmieć ogniem luf i wybuchami pocisków, tam gdzie skrył się wróg. I jeszcze przez kilka minut podziwiać te odważne dziewczęta oświetlone ogniem płonących już domów... Ich rodzinnych.

„Działon przybył. Bez strat" — meldował porucznikowi Sapierskiemu dowódca naszego działonu, młodszy sierżant Pawlenko.

„A gdzie dziewczęta?" — z niepokojem pytał dowódca baterii.

„Pozostały... Obiecały oczekiwać podziękowania, gdy wracać będziemy...".

*

Doczekaliśmy się powrotu. Po długich miesiącach pędziliśmy wroga przed sobą. Aż spod stoków kaukaskich gór, stamtąd, gdzie spoza lekkiej i zwiewnej jak muślin mgiełki majaczyła sylwetka Elbrusu...

Stanica Kiereńska była tam, gdzieś z boku, o kilkadziesiąt kilometrów na północny-wschód od trasy działań baterii.

„No rebiata... Nada k diewuszkom w stanicu..." — zezwolił z uśmiechem dowódca baterii, nie zapomniawszy widać owej nocy sprzed kilku długich miesięcy.

Pojechało nas czterech z pierwszego działonu... Dwóch pozostało tam w górach kaukaskich, a jeden niedaleko czarnomorskiego portu Noworosyjsk... Z jakąż radością mknęliśmy wyciskając z „gazika" maksymalną szybkość. Wreszcie dojechaliśmy. A w miejscu, gdzie wówczas pozostała ukryta wśród drzew stanica — pięły się w górę wysokie chwasty i resztki kominów sterczały na zgliszczach.

I tylko stado wron powitało nas żałosnym krakaniem...

„ZAKURIM MISZKA"

...Za wrogiem, na zachód.

I oto Ukraina, okolica Kijowa... A wiśniowe sady, białe ściany domów i wysokie słomiane dachy chałup, brzozy i rosochate płaczące wierzby — tak pięknie opisywane w dumkach poety Tarasa Szewczenki, wyglądały teraz jakby po trzęsieniu ziemi. Ruiny, zgliszcza, popioły. Bombami, pociskami artylerii i moździerzy, siecią rowów i okopów zryta i okaleczona została ta ziemia. Ocalałe kominy sterczały wśród zgliszcz, jak rozpaczliwie wyciągnięte ręce wołające o pomstę...

Nie przyćmiewało to jednak radości tego, tak długo oczekiwanego spotkania. Witały nas kobiety, dzieci, starcy, i... łzy na ich wychudłych policzkach.

„Nareszcie wróciliście...".

„Podożdi druh, podożdi i stwojej strany wraga progonim" — mówili mi frontowi towarzysze: Rosjanie, Ukraińcy, Gruzini, Azerbejdżanie...

Byli to prości i zwykli ludzie, lecz o jakże bogatych sercach. Wśród walk, ocierając się stale o śmierć, nikt z nich nie myślał o sobie. Tam, w górach kaukaskich, pod stokami wiecznie mgłą owitego Elbrusu, dzielono się ostatnią szczyptą gorzkich i twardych jak kamień końskich makuchów i pieczonymi na ogniu kasztanami. Przyjaźń ta krzepła wraz z kilometrami frontowych dróg, które potem prowadziły naszą baterię poprzez stratowane, zniszczone stepy Kubania, rozległe i cuchnące mokradła tamańskie, ponad brzegami Czarnego Morza, a teraz wśród tych pól Ukrainy... Cieszyli się oni każdym skrawkiem wyzwolonej ojczystej ziemi, lecz i nie zapominali, że na nich jeszcze też oczekują.

„Uże niedaleko, dojdiom abiezatielno...".

Piękna ta żołnierska przyjaźń. Smutek i radość — wspólną własnością. Oczekiwanie — zgodnym pragnieniem.

„Dojdiom w Polszu, dojdiom...".

...Któregoś poranka bateria zajęła stanowiska na skraju lasu naprzeciwko chutoru Wiszniwka. Piechota została zatrzymana wśród pola silnym ogniem faszystów.

„Zburzyć punkty oporu, utorować przejście dla piechoty" — bateria otrzymała zadanie, jak wiele już podobnych przedtem.

Faszyści z dogodnej pozycji wzdłuż rozległej wioski, ukryci w bunkrach i poza ścianami domów, bronili się zawzięcie.

Dowódca baterii, szybko „wymacał" stanowiska broni maszynowej.

„...Cel, domy, w oknach cekaemy... Granat odłamkowo-burzący, zapalnik natychmiastowy, bęben nachyleń..." — komendy mieszały się z trzaskiem ładowanych pocisków.

Celowniczy sąsiedniego działonu, sierżant Tkaczew, który dotychczas bez przerwy wpatrywał się w wioskę, na słowa komendy oparł się o zamek działa.

— „Miszka, czto stoboj" — dowódca działonu podskoczył do niego z trwogą.

— „Niczewo, niczewo" — Miszka już wyprostował się, naprowadzał lufę działa.

„Czotyry znariady..." — niosły się głosy wśród wycia pocisków wroga

Na komendę „ogoń" Miszka zdjął uszankę i odrzuciwszy ją w bok, pociągnął za sznur...

Pociski biły w domy, gospodarskie budynki, w głąb wioski. Po chwili dym i ogień przesłoniły widok.

Piechota ruszyła do przodu. Dla artylerzystów chwila wytchnienia. Siadali na pustych już skrzyniach po pociskach, wyciągali machorkę, z gazet robili „kozie nóżki", wsypywali w nie tytoń i długo, chciwie zaciągali się tym duszącym aromatem. Rozrzucone wkoło brązowe łuski pachniały spalonym prochem.

Podszedłem do Miszki. Lubiłem tego siwiejącego, rozsądnego i bardzo koleżeńskiego człowieka. Nieraz bywało dzieliliśmy się okruchami chleba, czy skąpą zawartością menażki. Stał on nadal bez czapki oparty o działo, a włosy opadały mu na bladą twarz. Nie zakrywał oczu, które pierwszy raz widziałem mokre.

Rękawem munduru ocierał policzki długo i powoli.

„To była moja wioska...".

Weszliśmy do ruin... Przy kupie dymiących jeszcze gruzów, w miejscu gdzie tak niedawno bieliły się ściany jednego z domów — stała samotna kobieta. Na jej zoraną zmarszczkami twarz opadały kosmyki siwych, rzadkich włosów. Oczy miała suche. Tylko ją mógł uściskać sierżant Misza Tkaczew — jej mąż, który opuścił tę wioskę dwa lata temu, by bronić ojczyzny. I oto wrócił... Jakże na krótko. Musiał się śpieszyć na zachód, by odszukać wywiezioną przez faszystów jedyną swą córkę.

A ja?... Cóż mogłem rzec Miszy? Jakie słowa pociechy mogłem mu powiedzieć na ukojenie jego ojcowskiego bólu? Czy to, że znowu byłem o kilkaset metrów bliżej od progu mojej ojczyzny?...

Podszedłem do niego ze szczyptą pieczołowicie przechowywanej machorki.

— „Zakuri Miszka...".

*

Nad rzeką Zbrucz, ponad dwieście kilometrów od chutoru Wiszniwka — po jednej z walk — żegnaliśmy samotną mogiłę, w której, z kilkoma innymi artylerzystami, pozostał i sierżant Misza Tkaczew — celowniczy działonu; pierwszej baterii, 968 artyleryjskiego pułku, 395 Tamańskiej, Gwardyjskiej Dywizji Czerwonej Armii.

NIEDOKOŃCZONE PODZIĘKOWANIE

Sierpniowy świt 1944 roku.

Spoza drzew lasu, na niedalekie okolice Dołów Jasielsko-Sanockich dalej na południe i południowy zachód wzgórz Beskidu Niskiego — wyglądały lufy naszej zamaskowanej baterii.

Doszliśmy do krainy owalnych wzgórz, pofałdowanych połonin i uprawnej ziemi, spadzistych jarów, czystych potoków i rzek, wiecznie zielonych lasów. Byliśmy na Pogórzu Dynowsko-Przemyskim.

Przed nami coraz zajadlej grzechotały serie ciężkich karabinów maszynowych i głucho dudniła artyleryjska kanonada. Grzmot dział przewalał się echem, ginąc wśród lasów i pól. Z niespokojnej nocnej drzemki budził się front na polskiej już ziemi.

Doczekaliśmy się radosnych, jakże oczekiwanych chwil. Oni liczyli kilometry na zachód od wyzwolonej już ojczyzny, a ja — znajdowałem się na swej rodzinnej ziemi. Wróciłem w południowe granice ojczystego kraju, gdzie we wrześniu 1939 roku pozostawiłem mogiły towarzyszy broni z 21 szkolnej kompanii... Mogiły zdeptane czołgami faszystowskich jednostek 14 KA gen. Lista. Niezapomniane miejsce owych tragicznych walk, były teraz, gdzieś w prawo, na północ od dróg bitewnych mojej baterii dział 76 mm, 968 artyleryjskiego pułku, 38 Armii.

Grzmot dział nadal przewalał się echem. Ciężkie pociski z faszystowskich armat niosły się ponad naszymi głowami, gdzieś na północ i północny wschód, w okolice Dynów, Dylągowa, Kramarzówki jakby przypominając, że na całkowitą radość jeszcze za wcześnie.

Przed nami wciąż front.

Maskując się wśród drzew, skrajem lasu we trzech weszliśmy do wioski, kierując się na wysunięty punkt obserwacyjny dowódcy baterii. Dochodziliśmy do ostatnich zabudowań, gdy szum motorów kazał zatrzymać się nam w miejscu. Zza wzgórza zjawiło się kilka bombowców z czarnymi krzyżami. Gdzieś z boków odezwały się serie kaemów piechoty.

Zadrżała ziemia, pękały szyby w oknach, rysowały się spojenia ścian domów. Potworny łoskot, huk i gęsty dym spalonego prochu.

Przerażeni mieszkańcy kryli się w piwnice, do rowów, niektórzy biegli wprost na odkryte ogrody i pola.

Leżeliśmy w jakimś dole, tuż obok zniszczonej latami chałupy. Przed nami zapaliła się już obora. Ogień ogarnął słomiany dach i wprost w górę unosił się słup dymu. Wewnątrz budynku rozlegał się ryk krowy.

Samoloty zrzuciwszy część ładunku wzbijały się w górę, by ponownie zawrócić. Szukaliśmy oczyma jakiegoś bezpieczniejszego ukrycia, gdy nagle... W kraciastej spódnicy i białej koszuli, z chałupy wybiegła kobieta. Nie zważając na nic wpadła do palącej się obory.

„Nu ka, pomagitie" — krótko rozkazał starszy lejtnant Ponomarenko, oficer ogniowy baterii.

...Bagnetem odcięliśmy postronek i wypędziliśmy krowę na podwórze... Tuż, przy chałupie leżał nasz oficer, a spod jego piersi powoli wychylało się dwoje dzieci; chłopczyk i dziewczynka. Nad nimi czarnym cieniem przeleciał samolot, siejąc serię pocisków zniknął za drzewami.

Za nami dopalała się obora. Wśród wioski płonęły zabudowania, a w głębi lasu ginęły echa ostatnich bomb.

Szczupła, o cienkich nóżkach dziewczynka nachylała się już nad nadal leżącym oficerem, a chłopczyk bawił się spadłą z jego głowy czapką, starając się odczepić z niej małą czerwoną gwiazdkę.

W kierunku dzieci biegła wystraszona kobieta — ich matka — by ucałować swe zdrowe maleństwa i podziękować ich wybawcy za ocalenie.

Wiele widziałem scen podziękowań wśród tych frontowych dróg. Wiele, niestety, pozostało i nie dokończonych. To również było jednym z nich.

*

Pozostał na zawsze w Polsce starszy lejtnant Ponomarenko. Leży w jednej z 26 wspólnych mogiłach na cmentarzu żołnierzy radzieckich, na północno-wschodnim skraju Brzozowa.

A szliśmy tu razem, aż spod kaukaskich gór.

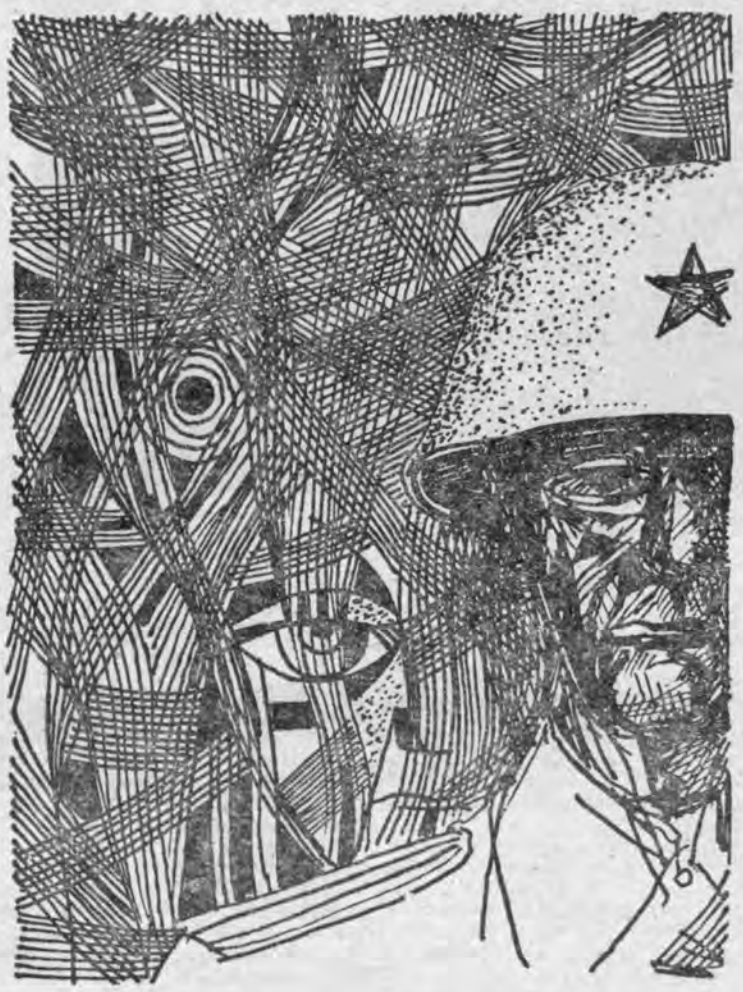

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

— „No i czto, dożdałsia?...".

W milczeniu uściskałem tę twarde żołnierskie ręce, a jakiś skurcz chwytał za gardło.

Nareszcie po tylu kilometrach frontowych dróg i bezdroży. Przed nami i wokół już ziemia polska.

Listy DO PRZYJACIELA

„Proszę pana... narysuj mi baranka"...

Czy Ty to jeszcze pamiętasz, czyś zdążył się już sprzeniewierzyć naszej młodości? Czyś może stał się już tym zupełnie dorosłym, co to absolutnie zapomniał, że i on kiedyś był dzieckiem?

Na pewnym bardzo nieładnym i nudnym zebraniu znowu przeczytałam „Małego księcia". To bardzo piękna książka. I siedząc sobie tak samotnie wśród tłumu, patrząc na zadymiony mrozem świat za oknem spróbowałam popracować wyobraźnią i zobaczyć raz jeszcze tę malutką planetę z trzema wulkanami, różą pod kloszem oraz zamkniętego i otwartego węża ze słoniem we wnętrzu. Coraz przerywali mi te kontemplacje bardzo dorosłymi sprawami bardzo dorośli ludzie, którzy mówili między sobą o „brydżu, golfie, polityce i krawatach", a mówiąc cieszyli się, że są tak rozsądni. Przerywali mi, ale róża z planety Małego Księcia i tak nie straciła zapachu, a woda w pustyni znaleziona i na mnie działała orzeźwiająco.

Pamiętasz, jak siadywaliśmy na dachu komórek i wielka gałąź starej jarzębiny zmieniała nam się w czarodziejskie dywany, siwki srebrnogrzywki? Pamiętasz — jak raz byłam księciem Pepi i z jarzębiny skoczyłam do Elstery, czyli na próg komórki i stłukłam boleśnie kolano, a moi najdrożsi dorośli pasem sprali mi tyłek, bo jarzębina dla nich była, jak w „Małym księciu", bynajmniej nie siwkiem srebrnogrzywkiem, lecz zwykłym, poczciwym drzewem z dość wysoko rozpiętymi konarami? Pamiętasz, jak stary kape-

Ryszard Bilski

Afrykański rejs (III)

Z Rouen do Marin

Już trzeci dzień stoimy w Rouen, a stalowe ramiona dźwigów przenoszą na statek zawartość stojących na bocznicy wagonów kolejowych. Jakby to wszystko dobrze poupychać to 6 pełnych składów pociągów można by zmieścić na naszym motorowcu.

Wprawdzie w konsulacie francuskim w Krakowie powiedziano nam — pasażerom, że w Rouen nie będzie można zejść na ląd, już w pół godziny po przyjściu do portu wydano nam paszporty i opuszczono trap.

Nie pilno mi, tym bardziej że trochę pada, jest chłodno, a do miasta trzeba iść szybkim krokiem ponad pół godziny. Zamknąłem się w łazience i wywołuję filmy. Odbitki nie są jednak najlepsze, gdyż zabrałem tylko „twardy" papier, a przydałby się „normal".

Wyszedłem do miasta dopiero po podwieczorku. 30-tysięczna Dunkierka, którą byłem zachwycony, blednie, rzecz jasna, przed 350-tysięcznym Rouen. Ruch ogromny, gdyby nie sprawnie działająca sygnalizacja świetlna o przejściu z jednej strony ulicy na drugą nie byłoby nawet co marzyć! Wśród setek, ba, tysięcy samochodów królują citroeny i peugeoty. Spotyka się także sporo wozów włoskich.

Wzdłuż ulicy, która prowadzi z portu do miasta i biegnie prawie że nad samą Sekwaną znajdują się stacje obsługi poszczególnych firm, wąska specjalizacja gwarantuje szybką, a co najważniejsze, fachową pomoc.

Dewizami nadal gospodarzymy bardzo oszczędnie. Kartka pocztowa, znaczek i franka nie ma. Cztery takie przyjemności i po dolarze. Nie dziwię się więc, że ten i ów próbuje coś dorobić. Nie na dużą skalę, rzecz jasna, ale tak, chociażby dla podtrzymania tradycji polskich turystów. Z paczką „carmenów" i buteleczką „żażębiaczku" (tak wymiawiają nazwę tego trunku Francuzi) wyruszył na spacerek po Rouen... mniejsza zresztą o to, kto. Dobrze, że nie skorzystałem z zaproszenia. Ów pechowy handlowiec skrył się przed deszczem w hallu... Urzędu Celnego nie wiedząc o tym. Szybko nawiązał rozmowę z jednym z pracowników tej instytucji i po kilku ciepłych — z obu stron — zdaniach zaproponował swoje pół literka. Celnik oczywiście nie skorzystał z okazji, tylko się wylegitymował i skonfiskował kupiony w statkowej kantynie „żażebiaczek", płacąc zań urzędowym pokwitowaniem. To ci pech, w 350-tysięcznym mieście trafić — tak za pierwszym razem — na celnika.

SAMOTNY SPACEREK po mieście z gotowym do strzału „Startem" uwieńczyło kilkanaście zdjęć. Nie fotografowałem jednak ani pomnika Joanny d'Arc, ani też wielu innych zabytkowych obiektów. Zrobili to wcześniej i lepiej producenci wspaniałych, kolorowych widokówek. Kieruję obiektyw na codzienne scenki z życia francuskiej ulicy. Temat nęcący — tablica, ogromnych rozmiarów — reklamująca, że za niecałe trzy franki można zostać milionerem, a pod nią jakiś, pewnie niezbyt bogaty Francuz zbierający złom. Może za zarobione w ten sposób pieniądze kupi szczęśliwy los i zasiądzie za kierownicą eleganckiego samochodu.

Wśród samochodów przeciskają się rowerzyści i motocykliści. Popularny kiedyś i u nas w Polsce doczepny rowerowy silniczek spalinowy przeżywa we Francji swój renesans. Ulice są tak zatłoczone, że DWA KÓŁKA wzmocnione konikiem mechanicznym okazują się bardziej przydatne i praktyczne, a co najważniejsze i znacznie tańsze w eksploatacji OD CZTERECH. Nie ma kłopotów z parkowaniem, łatwiej także wydostać się z korków ulicznych.

Piątek, 31 stycznia. Ostatni dzień miesiąca. O godz. 17 na statek wchodzą piloci. Podpływają dwa holowniki. Tym razem przez Sekwanę będziemy płynąć wieczorem i w nocy. Całą drogę, którą pokonujemy w ciągu 6 godzin towarzyszą nam światła. Tysiące świetlnych punkcików wyznacza trasę. Im bliżej ujścia, tym fale są coraz większe. Podskakując — jak piłka — podpływa do naszego sześciotysięcznika mała motorówka. Schodzi do niej, po sznurowej drabinie pilot francuski.

KANAŁ LA MANCHE

— No, teraz się zacznie wesoła jazda — powiedziałem niby to do siebie, ale dostatecznie głośno, by sprowokować do zajęcia stanowiska I mechanika, Juliana Boleńskiego, podobno kibica rzeszowskiej „Stali".

— Eee, w kanale będzie spokojnie, dopiero nad ranem może się pan spodziewać kołysanki. Zatoka Biskajska słynie z tego.

Jest już dobrze po północy. Spać się nie chce. Nawet nie podziałała nasennie repeta „Rękopisu znalezionego w Saragossie" (film powtórzono dla tej części załogi, która miała poprzedniego dnia wachtę). Z przylepionymi nosami do szyby bulaja (tak nazywa się okno na statku) żegnamy światła Francji.

SOBOTA, JUŻ DRUGA w tym rejsie. Będzie ich jeszcze co najmniej dziesięć. Na śniadaniu zabrakło kilku osób. Leżą potulnie w łóżkach i składają ofiarę Neptunowi. Nasz stolik trzyma się na razie dzielnie. Dopiero po obiedzie wysiadł elektronik z Wrocławia. Nie ma sposobu, by go podnieść z łóżka, nawet zapowiedź, że po kolacji będzie projekcja „Arcylokaja" przyjął obojętnie. Z „Arcylokaja" zrobił się „Bicz Boży", bo w MOMI (Morski Ośrodek Metodyczno-Instruktażowy — taki wojewódzki dom kultury w morskim wydaniu) ktoś pomylił taśmy i pudełka.

Znów długo markuję, nie mogę zasnąć. Do hałasu silnika posiadającego moc blisko 5 000 koni mechanicznych przyzwyczaiłem się, jak kolejarz do gwizdu lokomotywy, zagwiżdże — śpi, nie zagwiżdże — obudzi się. Najgorsze są różne drobne skrzypnięcia pochodzące nie wiadomo skąd. Zanim się człowiek zorientuje, że to drga szczoteczka do zębów pozostawiona w szklance, albo tłucze się w szafie wieszak minie kawałek nocy. A gdy już przyjdzie sen, z trzaskiem otwierają się drzwi do łazienki, same, na skutek przechyłu statku.

NIEDZIELA, 2 LUTEGO. Pierwsza niedziela w morzu. Poprzednią spędziliśmy w porcie, w Dunkierce. Radość ogarnia załogę, niedziela w morzu — jeden dzień urlopu więcej na lądzie.

W jadalni jeszcze bardziej pusto, niż wczoraj. Dzielnie trzyma się gornik-emeryt. Ma apetyt, ja też. Posiłki są nie tylko obfite i częste, lecz także i bardzo smaczne. Dzisiaj na przykład w karcie zaproponowano na śniadanie — zupę mleczną i parówki, na obiad zupę wiedeńską i drób pieczony z ziemniaczkami, mizerią oraz pomarańcze, podwieczorek był słodki — rolada i kawa, kolacja, jak zwykle konkretna — tatar, masło, herbata ze śmietanką... A i tak są amatorzy na lodóweczkę, w której o każdej porze dnia i nocy znaleźć można kawałek kiełbasy, masło, dżem i konserwy rybne. Jest zawsze gorąca herbata i zimniuteńkie mleko.

„Cała naprzód" zbliżamy się do hiszpańskich brzegów. Znów ożyła radiola. Słychać jeszcze stacje francuskie, ale lepszy odbiór jest z hiszpańskich. Francuskie walczyki przeplatają się z La Palomą. Słońce zaczyna dogrzewać, więc kto żyw i zdrów idzie na pokład. Co odważniejsi zaglądają na mostek, ale tylko na krótką chwilę, w obawie, by nie spotkać kapitana. Nie lubi gości w tej części statku.

Wachtę ma 11 oficer, Andrzej Piotrowski. Kilka dni temu byliśmy razem na „małym browarku". W ciągu dwóch godzin opróżniliśmy karton piwa. Mam więc szansę, jestem w łaskach.

Drugi jest bardzo towarzyski, ale nie lubi, gdy się go ktoś pyta o rodzinne strony.

— Gdzie się pan urodził? W Białej Podlaskiej — odpowiada. — To zna pan chyba aptekarza? Nie? A kierownika szkoły? Też nie? Nie znam tam nikogo, ja się w Białej tylko urodziłem i zaraz wyjechałem do Szczecina.

Pierwsze „podejście" na mostek powinno być wyjątkowo ostrożne, dyplomatyczne. Tylko nienatręci mają szanse. Poprosiłem więc o pozwolenie zrobienia zdjęć, o nic więcej.

Pogoda jest wspaniała. Statek rozwija pełną szybkość. Przed północą dopłynęliśmy do małego hiszpańskiego portu — Mar n. W porcie wszyscy już śpią, zresztą to niedziela. Nie możemy uzyskać połączenia z pilotem za pomocą krótkofalówki. Rzucamy więc kotwicę...

Rouen.

łusz Twego Ojca nazywaliśmy wężem zamkniętym i rozpierała nas duma, że tylko my oboje wiemy, co jest w środku niego? I rysowaliśmy węża zamkniętego oraz węża otwartego, a dorośli pukali się palcem w czoło i zaganiali nas do dziejów ojczystych, nieświadomi, że przecie sami byli sprawcami naszego upojnego „ogłupienia", kupując nam „Małego księcia"?

Na pewnym bardzo dorosłym zebraniu, gdzie mówiło się o „brydżu, golfie, polityce i krawatach" naszło mnie to wspomnienie, jak zapach świeżo skoszonej łąki i czytałam sobie „Małego księcia", wyłączona z ich świata, jeszcze i dziś p r a w i e rozumiejąca tę biblię kraju lat dziecinnych, nawet nie smutna, żem z niego wyemigrowała w krawatowo-polityczną dojrzałość, tylko nieco oszołomiona prywatnym odkryciem, że dotąd ani w brydża ani w golfa grać nie potrafię, bo mnie oba nudzą.

„Mały książę" jest książką okrutną. Okrutną w obnażaniu dorosłości; tej dorosłości pozbawionej wyobraźni, wrażliwości, rozmieniającej serce w rozumowych spekulacjach. Ale jest książką pisaną sercem, przeciw brakowi serca, skostnieniu uczuć. Jakie rozmiary przybierać one mogą — opowiem ci zdarzenie autentyczne, najświeższe, z teki prokuratorskiej wyjęte:

Wczesnym popołudniem wyszedł z domu jedenastoletni chłopak i przywieziono go do tego domu na godzinę przed północą, bo sam już przyjść nie mógł. Przywieźli ci sami, którzy zaprosili go do zabawy, którzy z gestem wręczyli mu 40 złotych polskich za udział w niej, którzy organizowali ją z pełną troską o efekty ostateczne, o radość. Myśliwi.

Jedenastoletni człowieczek, skuszony perspektywą naganiania zajęcy, lasu pokrytego śniegiem, przejażdżki saniami, czterdziestoma złotymi, jak stał: w miejskim paletku i niezbyt ciepłych butach rzucił się w tę przygodę z sercem rozedrganym emocjami, głową niepomną na 18-stopniowy mróz. Pojechali. Oprócz dorosłych i jedenastolatka gromada jeszcze dzieciaków zabieranych po drodze z ulic jednego z najpiękniejszych miast w Rzeszowskiem. Później zapewne uformowali pełną zapału nagonkę, kluczyli po lesie, tropili zające w swoich nie najcieplejszych paletkach. Jeszcze później dostali dymiący bigos i herbatę, a panowie myśliwi, zawinięci w ciężkie kożuchy, rozgrzani polskim krupnikiem liczyli trofea i hojną ręką wypłacali honoraria zsiniałym od mrozu dzieciakom.

A zupełnie już na koniec pięknego wieczoru, kiedy mrugały gwiazdy, wśród nich i ten maleńki asteroid Małego Księcia baśń przerwała brutalna rzeczywistość i jedenastolatka trzeba było wnosić do domu. Nie należało już do planu myśliwskiego szczęścia tłumaczyć się przed oszalałą z niepokoju matką; nie przewidział (?!) ów kaptujący chłopaczka myśliwy, że czeka go widok, za który odpowie przed sądem, że wraz z płytkim trzewiczkiem zejdzie z nogi dzieciaka skóra, że raz jeszcze tego wieczoru zobaczy krew, mięso, że weźmie udział w jeszcze jednych krwawych godach. Nie przewidział, że chłopaczek poleży w szpitalu długie tygodnie, że oprócz okaleczałej pięty, zejdą mu wszystkie paznokcie z nóg, i że cena 40 złotych, jaką wyznaczył za tę zabawę, okaże się ceną niewystarczającą.

Dziwne zabawy uprawiają dorośli — powiedziałby Mały Książę, ponieważ nieskłonny był do przesady i obca mu była mentalność dorosłych.

Myśliwy stanie przed sądem. On twierdzi, że nie ma za co, bo skąd mógłby przewidzieć, że tak się to skończy, bo wywiązał się przecież z finansowego zobowiązania. Tak twierdzą zresztą wszyscy myśliwi, organizujący nagonkę z przypadkowo spotkanymi dziećmi. I ani rusz nie mogą pojąć, skąd się wziął ten zastrzelony chłopiec, który migając wśród drzew za zającem i naganiając go na linię strzału, sam widać zbyt przypominał zajączka... I tak bardzo nie starcza im wyobraźni, którą być może tłumią ciepłe kożuchy, że wiatrem podszyte paletko i grzejąca serce nastolatka perspektywa przygody są lichą obroną przeciw śniegom leśnych ostępów. Myśliwi zapewne mają swoje dzieci, których do nagonek nie zapraszają, którym nie proponują „łatwego" zarobku. Dlaczego? — skoro wiedzą, że to tak piękna przygoda, do tego płatna przygoda?

Myśliwy, któremu wyobraźnia nie dopisała, stanie przed sądem. Przy odrobinie znajomości karnego kodeksu wiemy, że trochę dopłaci do tej zabawy. Zapewne znowu pieniędzmi. Na rozprawę powinien jednak stawić się duch Antoine'a Saint — Exupery, zleciec - obłokow, w których zaginął bez wieści i ostatecznie, raz jeszcze poderwać umiłowaną maszynę do lotu i z myśliwym pospołu wylądować na planecie Małego Księcia. Pomieszczone są na niej trzy wulkany — jeden czynny; bardzo malutki to wulkan, na którym Mały Książę smaży sobie jajecznicę na śniadanie. Tym razem może usmażyłby piętę myśliwego...

Dorośli robią człowieka okrutnym.

Są złe i dobre bajki: na Braciach Grimm wychowywał się mały i duży Hitler; bajka o Małym Księciu jest mądra i bynajmniej nie tylko dla dzieci. Gdybyśmy ją częściej czytali — dzieci miałyby może radośniejsze dzieciństwo.

I to jest wszystko, co chciałam ci dzisiaj napisać. Nie skończyłybyśmy już dzisiaj do Elstery — to prawda; ale często jeszcze w kapeluszach upatruję węża, trawiącego dzikie zwierzę. Stąd sporo nieporozumień, ba, nawet rozczarowań, kiedy na dzień dobry znajomi zdejmują ten kapelusz, zabawiając mnie bardzo dorosłą rozmową o krawatach i brydżu, a ja w tym czasie odkrywam, że kapelusz jest kapeluszem i najczęściej w środku bywa pusty

KRYSTYNA

Świat drewnianych figurek

Patrzę na rzeźbiarkę i trudno mi ukryć rozczarowanie, a właściwie zdziwienie. Jakoś dziwnie nie pasuje twarz wiejskiej kobiety, nawet jej historia życia do artystycznych zamiłowań, do intymnego świata, który stworzyła sobie otaczając się drewnianymi istotami. Sterana długoletnimi chorobami i ciężką pracą na roli oddychała dopiero przy „ożywianiu" kawałka drewna grymasem oblicza i sztywnym ruchem małych, ale dostojnych figurek.

Jej rzeźba z wyraźnie określoną funkcją, znalazła zastosowanie w obyczajach, obrzędach — wśród nich dominują doroczne

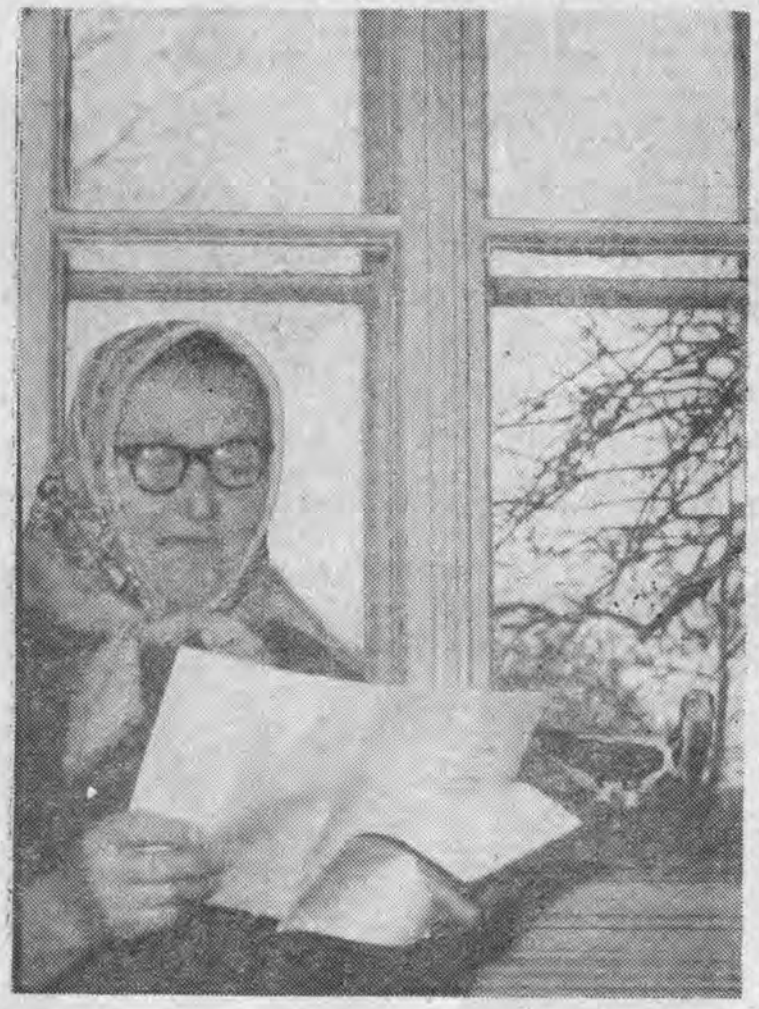

nieruchome jasełka. Wprowadzone jeszcze w XIII wieku przez Franciszka z Assyżu, przez stulecia zrobiły karierę dzięki zabiegom zakonu franciszkańskiego — docierając i do Polski. Tu też mają obfitą tradycję i swój styl — np. znane szopki krakowskie, wzorowane zresztą na zabytkowej architekturze tego miasta. Ale szopki z Soniny, pow. Łańcut, są w tym kontekście zjawiskiem nader ciekawym i osobliwym. Jasełka przeszły metamorfozę pod dłutkiem Julii Kalinowskiej; postacie w betlejemskiej stajence — to portrety najbliższych, rysy ludzi, z którymi na co dzień spotykała się rzeźbiarka w realnym, rzeczywistym świecie.

Siedząc w schludnej izbie, na próżno usiłuję doszukać się jakichkolwiek śladów artystycznej pracy; odkąd poznano się na urodzie tych szopek nie pozwolono „marnować się" im w Soninie. Wyruszyły w kraj do krewnych i znajomych, kolekcjonerów i znawców sztuki. Niektóre figurki z szopki będę mogła obejrzeć w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, a tymczasem pani Julia opowiada różne epizody ze swojego życia. Siedemdziesięciotrzyletnia kobieta potrafi zadziwić sposobem bycia: pogodnym, płynnym, niekonwencjonalnym. Nawet ciężkie doświadczenia nie zdołały zabić radości życia, chęci życia. Trzeba umieć wydobyć ten walor ze swego istnienia, egzystencji.

— Kiedyś wpadłam w straszną złość — mówi. Spóźnił się autobus. Długo czekałam na przystanku, domiarem złego był nieuprzejmy konduktor. Kłótnia była wielka. Najciekawsze jednak to, że Kalinowska nie pamięta już, jak długo rugała arogandkiego biletera, jako „rozwrzeszczana baba", a kiedy zaczęła przedłużać tę ostrą konwersację jako... artystka. Jej uwagę przykuły rysy zacietrzewionego mężczyzny — ich odbicie już widziała w drewnie.

— I wyrzeźbiłam potem, ile było śmiechu, bo udał się jak żywy!

Na marginesie swojej głównej, jasełkowej tematyki zajmuje się „portretowaniem" znajomych, ludzi zwykłych, czasami dostojników świeckich i duchownych. Wzory czerpie z autopsji, zdjęć, ilustracji z książki i gazety. Szafę ma ciasno wypchaną stertami różnych czasopism, począwszy od "Świerszczyka" — robi przecież drewniane zabawki dla dzieci z wioski, które do niej zaglądają.

Twórczość Julii Kalinowskiej nie umknęła uwagi autorów albumu „Sztuka ludowa w Polsce". Piszą: ...niekiedy wśród grona rzeźbiarzy ludowych pojawiają się również sylwetki kobiet (...), wspomnieć należy o Anieli Orłowskiej z Przysietnicy, Rozalii Kuźniar z Wysokiej, Julii Kalinowskiej i Klarze Szpunar z Soniny, które rzeźbią w drzewie na równi z innymi świątkarzami ludowymi..." Tak więc, Julia Kalinowska jest jedną z trzech rzeźbiarek podłańcuckiej wioski, do dziś jedną z nich żyjącą i tworzącą nadal z powodzeniem. Pytając o nią w Gromadzkiej Radzie w Soninie, wprowadziłam w zakłopotanie dwie młode kobiety. Rzeźbiarka? Kto tu może się tym bawić?... Po chwili olśnienie: w rodzinnej wiosce znana jest raczej dzięki układaniu wierszyków. Te okazjonalne, prymitywne składanki rymowane mają powodzenie w szkole na rozpoczęcie i zakończenie roku, w dniu nauczyciela i imienin, przyjazdów gości i ich odjazdów, wreszcie chrzcin, wesel i dożynek. Kiedy odkryła zamiłowanie do pióra?

Trzeba znowu posłużyć się retrospekcją. Jak przez mgłę pamięta odległe dzieciństwo, szkołę i nauczyciela, który czytał na lekcji „Treny" J. Kochanowskiego.

— To było piękne. Zapragnęłam układać do rymu, żeby się podobało ludziom. Tak samo chciałam, żeby pierwszych rzeźb w buraku i rzepie, chwalonych przez ojca nie zjadały krowy, ale aby przetrwały one dłużej. I kończąc dodaje: a potem już całe życie spędziłam orząc, siejąc, jeżdżąc koniem, chorując — dużo o tym można mówić. Najbardziej byłam szczęśliwa, gdy po trudach znowu mogłam się znaleźć w świecie drewnianych figurek.

JUSTYNA WOŚ

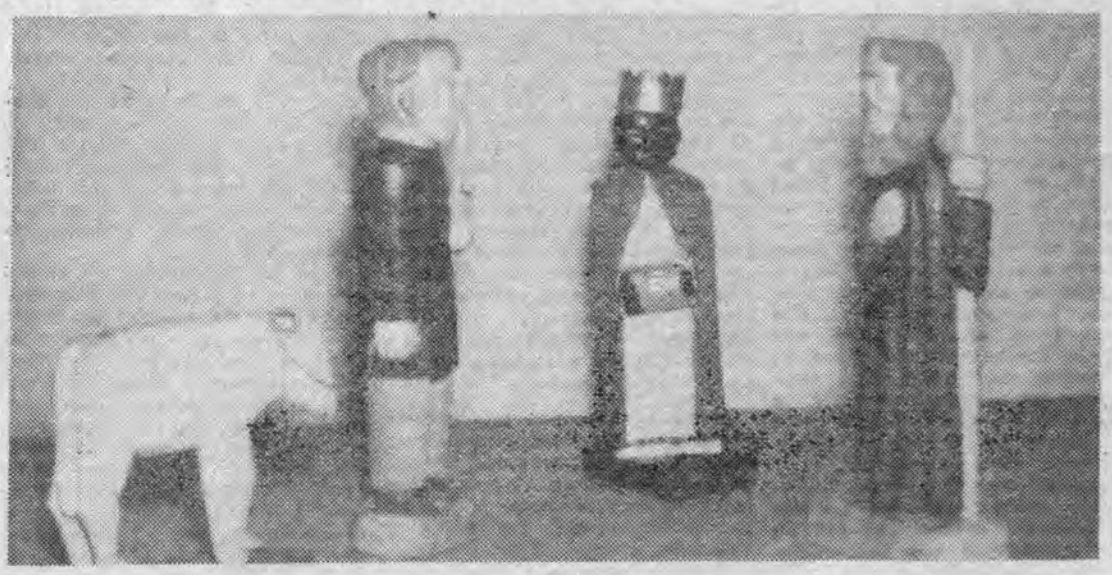

Fot. M. KOPEC

Korespondencje ● Polemiki

O poezji i innych sprawach

Powiedział ktoś bardzo wielki, że śpiące dziecko budzimy potrząśnięciem. T. Piekło próbował potrząsnąć młode środowisko literackie Rzeszowa. Wtrząsy są czasami potrzebne, ale to potrząśnięcie było zbyt silne przede wszystkim dla samego reżysera imprezy. Nie chcę tutaj ustosunkowywać się do szczegółów artykułu, bo już inni to zrobili. Przyznać muszę jednak, że po jego przeczytaniu przypomniały mi się „mroki średniowiecza" rzeszowskiego ośrodka KKMP, czyli niesławny okres literackich rządów loeblowskich. T. Piekło w swoim artykule niedaleko odszedł od tez, sformułowań i sądów wypowiedzianych kiedyś w „Widnokręgu" przez Loebla i pod jego adresem.

Nie jest to jednak już teraz najistotniejsze. Nieistotne są też wyroki i opinie wystawione poszczególnym autorom i ich wierszom.

Chciałbym jeszcze dodać kilka uwag dotyczących innych, ale związanych z powyższymi, zagadnień, które wyłoniły się w trakcie czytania wymienionej i innych wypowiedzi.

Uważam, że redaktor działu poezji „Widnokręgu" wie, które i jakie wiersze może, a jakich nie powinien publikować. A będąc odpowiedzialny za ten dział nie stosuje nader dużej taryfy ulgowej w kwalifikowaniu do druku wierszy wielu członków KKMP.

Problemem listów i korespondencji czytelników, tak wielkim dla niektórych dyskutantów, zajmę się tylko w jednym jego aspekcie, bo już p. Żbikowski w swojej skądinąd świetnej rozprawie (Widnokrąg nr 5 z dnia 2 II 1969) „odproblemował" zagadnienie dobrze i wyczerpująco.

Otóż chcę rzucić przypuszczenie, że autorami listów (najczęściej anonimowych lub z fałszywymi nazwiskami i adresami) — listów, które zarzucają bezsensowność i niedorzeczność poezji współczesnej oraz podważają celowość jej publikacji, są najczęściej ludzie o zawiedzionych nadziejach poetyckich względnie ludzie wychowani na poezji tradycyjnej, którym wydaje się, że poezję tę „umieją" oraz ludzie nie posiadający ambicji poznania i zrozumienia poezji w ogóle. Wielu z tych ludzi nazywa dzisiejsze wiersze „dziwolągami" lub „szaradami" nie zastanawiając się w ogóle nad swoim stosunkiem do wszelkiej poezji. Dla tych ludzi na pewno wielką „szaradą" i „dziwolągiem" byłby (dając choćby jeden ze skrajnych może przykładów) prolog do „Kordiana", gdyby nie podtekst historyczny i analiza treści podana w szkole.

Poeci jednak nie liczą na zrozumienie przez wszystkich czytelników swoich wierszy. Zdają sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Czytelnicy zresztą nigdy nie narzucali kierunków, form i środków wyrazu dla literatury i sztuki w ogóle. To robili zawsze twórcy, lepiej lub gorzej, zależnie od swoich twórczych możliwości, mając do „pomocy" — dostrzegane głębiej i wrażliwiej — takie między innymi zjawiska jak obyczajowość i układ socjologiczny społeczeństw i narodów, zachodzące przemiany ekonomiczne, społeczne czy ustrojowe, nawarstwienie tradycji kulturowych, historię i jej ewenementy i znaczenie oraz pewną wiedzę o człowieku, o jego życiu ogólnym i segmentarnym, o człowieku, który jest najistotniejszym obiektem zainteresowania twórców literatury i sztuki.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę, nie ujmując dobrych intencji i pomocy redakcji „Widnokręgu", że nie należy zbytnio przeceniać faktu ukazania się w tym piśmie noworocznej kolumny wierszy autorów członków KKMP, gdyż nie jest to zjawisko odosobnione, podobne bowiem kolumny ukazują się od kilku lat i to nie tylko w „Widnokręgu".

W zakończeniu, niech mi będzie wolno jeszcze dodać, że publiczne dyskusje na tematy warsztatowe i artystyczne dotyczące naszego młodego środowiska literackiego są potrzebne i pożądane. I na pewno sprzyjające rozwojowi poetyckiej dojrzałości tej garstki ludzi, ale wtedy tylko, jeśli będą rzeczowe.

EMIL GRANAT

(Wypowiedź tą drukujemy ze skrótami).

A PROZA?

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Przede mną leży artykuł „Widzę sens i potrzebę dyskusji" z „Widnokręgu" z dnia 2 II 1969 r. To dobrze, że Pan Żbikowski pisze w tak dobitny i otwarty sposób o sprawach, których nie można przemilczeć. Nie znam red. Piekło, ale chciałabym mu zadać jedno pytanie — „czy swoją karierę, nazwijmy to tak, dziennikarską bądź publicystyczną" zaczynał od idealnie skonstruowanych i na zamówienie społeczne prac prozatorskich bądź poetyckich. „Geniusze też przeważnie powyrastali z pieluch". To oczywiście nie znaczy, że pisząc o rzeszowskim KKMP można powiedzieć, że znajduje się w niemowlęcym okresie rozwoju. Pan Piekło chyba też od czegoś zaczynał. Można by jeszcze powiedzieć, że „ten nie błądzi kto nic nie robi" i szereg innych banalnych sformułowań. Wiem jednak, że chodzi nam wszystkim o dyskusję, o dyskusję konstrukcyjną" — jak pisze p. Żbikowski. Myślę, że właśnie z tych młodych twórców, którzy na razie być może nieudolnie tworzą — rośnie kadra literacka naszego „młodego" województwa rzeszowskiego.

Nie jestem jeszcze członkiem KKMP, chociaż bardzo chciałabym być. Nie mam tak bogatego dorobku literackiego, abym mogła się stać pełnoprawnym członkiem Klubu. Może dlatego, że dopiero od 4 lat mieszkam na terenie województwa rzeszowskiego i wraz z mężem geodetą pracuję w terenie przebywając cały czas na wsi. Co nie znaczy, że nie jestem społecznie zaangażowana, ale zanim mnie bez reszty „urzekło piękno ziemi rzeszowskiej i rozmach jego przebudowy i rozbudowy minęło kilka lat".

Czytałam i według własnych kryteriów oceniłam „Kolumnę Noworoczną". Zgadzam się, że taka „publiczna rozmowa" na łamach „Widnokręgu" przyniesie wiele pożytku. Widzę sens i potrzebę dyskusji oraz **spotkań młodych twórców** KKMP przynajmniej raz na kwartał w Rzeszowie, w którymś z większych ośrodków kulturalnych województwa.

Chodzi o to, aby pomóc między innymi w trudnościach warsztatowych, aby bardziej scementować całe literackie środowisko, powtarzam — całej Rzeszowszczyzny, bo trzeba mieszkać na wsi, tak jak ja, aby widzieć jak odczuwają, czytają i przyswajają rodzimą prasę rzeszowską „Nowiny" rolnicy. Nie wolno nam zapominać, że nasze województwo to przewaga rolnictwa, dlatego dziwi mnie trochę sformułowanie w artykule, że „raz na kwartał będziemy wydawać kolumnę wierszy KKMP". To poezja. No, a proza? Czy rzeszowski chłop chce widzieć pośród swoich młodych twórców samych poetów i czytać tylko poezję? Bardzo przepraszam, jeśli wyraziłam się niewłaściwie, ale to jest właśnie moja rozmowa, a właściwie monolog, a nie dialog, bo sądzę, że tylko na łamach prasy będę mogła przeczytać jeszcze takie lub inne poglądy na ten temat.

Pozwolę sobie jeszcze dodać, że praca na roli — to ciężka mozolna praca, to proza (chociaż można o niej pisać wierszem), ale ręczę, że chłop woli prozę i dlatego rzeszowskie KKMP oprócz młodych poetów winno wychować i wyłowić prozaików.

Jeśli mi wolno wysunąć skromną propozycję — to proponowałabym zorganizowanie w rb. konkursu na utwór o „życiu Rzeszowszczyzny" — tytuł konkursu to już koncepcja organizatorów.

Wracając na zakończenie mego listu do interesującego artykułu p. Żbikowskiego sądzę, że w najbliższym czasie należałoby przewidzieć spotkanie członków Klubu KKMP i sympatyków. Bardzo chciałabym być na takim spotkaniu, o czym pisałam niedawno do przewodniczącego Klubu p. Kubasa.

Załączam serdeczne pozdrowienia
stała czytelniczka
ELŻBIETA LIS
Humniska 536, pow. Brzozów
woj. Rzeszów

* * *

Nawiązując do tygodnika społeczno-kulturalnego „Widnokrąg" nr 1 (379) z dnia 5 stycznia 1969 r. w artykule Zbigniewa Wawszczaka „O krwawej pacyfikacji w Pantalowicach" zostało wymienione moje nazwisko zniekształcone i imię moje zmienione, zamiast prawidłowego imienia i nazwiska Władysław Amarowicz, napisano Kazimierz Marowicz.

Będąc w grupie konspiracyjnej byłem posiadaczem lampowego odbiornika radiowego, który cały okres okupacji był czynny i służył do przekazywania wiadomości na powiat przeworski, gdyż tow. Mieczysław Kaczor przyjeżdżał po nie rowerem kilka razy w tygodniu. Byłem też rusznikarzem grupy i połowa posiadanej broni była remontowana przeze mnie, broń tę nosił Józef Żyła. Mając na uwadze historyczną wartość wspomnień w wymienionym artykule, uprzejmie proszę Redakcję o sprostowanie.

AMAROWICZ

Przykro mi, że mimo woli przekręciłem nazwisko p. Władysława Amarowicza.

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Dyskusje

„Gra warta świeczki"

Dwa artykuły, jakie ukazały się obok siebie na łamach „Widnokręgu" z dnia 9. II. br. — Stanisława Kopacza i Olgi Guzińskiej, chyba nie zbiegiem okoliczności poruszają te same tematy, zwalczające się wzajemnie i różniące się zasadniczo. Pierwszy, pozytywnie jest ustosunkowany do współczesnej poezji, drugi natomiast zdecydowanie negatywnie. Wobec wyraźnej kontrowersji warto byłoby podyskutować na ten temat i wysondować opinię publiczną, na którą przechyla się stronę, i jak ocenia współczesną poezję, a nawet współczesną sztukę. Polemika zdaje się byłaby ciekawa i dużo mówiąca, bo temat wart tego, by go podjąć i przeanalizować obiektywnie.

Większość (do których zaliczam siebie) opowie się przypuszczalnie za rzeczowym artykułem Olgi Guzińskiej i przytoczy podobne argumenty, których jest wiele. Przede wszystkim niezrozumiałość i niejasność wierszy, które przecież powinny przemawiać do ogółu czytelników wyrazistością wyrazu, pięknem i harmonią. Nie wystarczy bowiem, by wiersz miał wymowę jedynie dla autora lub małej grupy czytelników, z większą wyobraźnią, gdyż poezja jest własnością społeczeństwa w jak najszerszym pojęciu i powinna z powodzeniem docierać do wszystkich jego warstw, do miast i wiosek.

Drugim niekorzystnym chyba objawem, to sprowadzenie wierszy do prymitywu, daleko przekraczającego pożądaną prostotę, który również nie dodaje im uroku.

W tej formie, są one jak szare kamienie, rzucane z pasją na grunt niepodatny; nie, z nich nie da się zbudować, bo są kanciaste i nie pasują do siebie.

Nie czytałam artykułu poety p. Piekły, ale uważam że osobiste wycieczki są niedopuszczalne, a co najmniej nie na miejscu. Jednakże nad całością problemu warto byłoby zastanowić się bez ironii i na płaszczyźnie neutralnej, bo zdrowy sąd w sprawach nam nieobojętnych, może dać dobre rozwiązania bez żadnej ujmy dla naszych autorów.

Jadwiga Szczepanik
Frysztak

Wystawa „Droga do chleba"

Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie zorganizował ciekawą, stałą ekspozycję mającą obrazować całoroczny cykl zajęć gospodarczych, których efektem jest — chleb. Wystawa pokazuje więc podstawowe narzędzia stosowane przy poszczególnych etapach pracy. Stąd też w pierwszej sali wystawowej zgromadzono sprzęty orackie („hak", radło i pług), druga gromadzi narzędzie służące do zbiórki zboża (sierpy, kosy, cepy), ostatnia zaś eksponuje — zestawy różnych przyrządów piekarskich (dzieże, niecki, łopaty, ożóg). Tu też znajdują się stylizowane kąciki na wzór izby chłopskiej, z charakterystycznym piecem chlebowym z woj. rzeszowskiego, stół zastawiony różnymi odmianami pieczywa obrzędowego, krzesła, ława itp.

Atrakcyjnym uzupełnieniem wystawy jest zamieszczanie przysłów — jako przejawów ludowej kultury i wiedzy rolniczej, teksty magicznych zaklęć, okazjonalnych przyśpiewek oraz ekspozycja obrazów i fotografii (np. fotogram palmy wielkanocnej zatkniętej w rogu pola, stanowi dowód żywotnego do dziś w naszym regionie obrzędu mającego na celu ochronę zasiewów.

(just.)

Jan Grygiel

nad rzeką Ropą

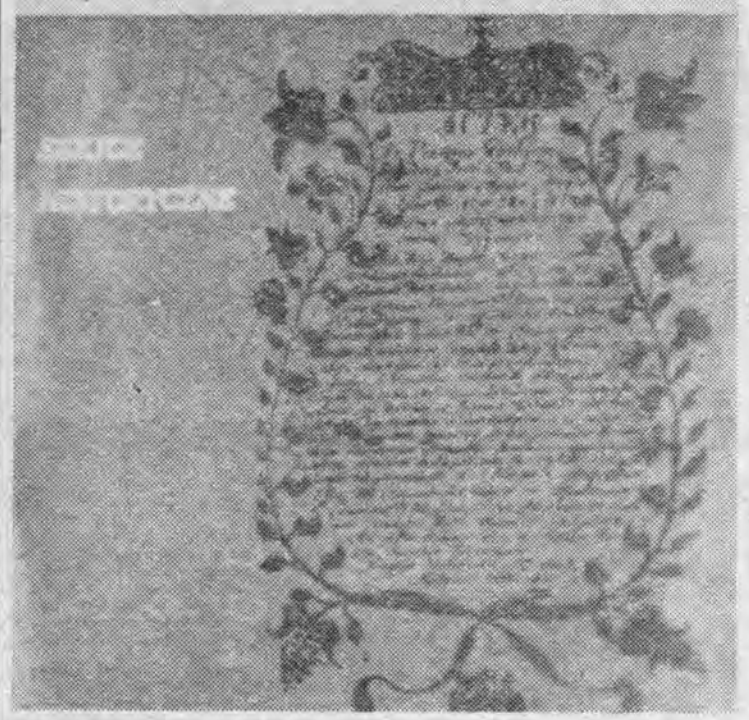

Spośród wszystkich monograficznych wydawnictw regionalnych, które ukazały się dotąd w województwie rzeszowskim zdecydowanie na czoło wybija się wielka seryjna publikacja, na którą niemałym wysiłkiem i równą mu ambicją zdobyły się Gorlice. Nie dorównują jej rozmachem ani „Studia z dziejów Jasła i powiatu jasielskiego", ani „Pięć wieków miasta Rzeszowa", ani wreszcie monograficzne wydawnictwa przemyskie mimo wielkiej wartości historycznej tych prac. Zaczęła się ta inicjatywa naukowo-badawcza i edytorska około roku 1960, a więc w okresie gdy październikowe decyzje o decentralizacji nauki zaczęły przynosić owoce. Grupka gorlickich historyków i miłośników historii miasta i regionu postanowiła opublikować kilka prac popularnonaukowych ukazujących tradycje dziejowe Gorlic i okolicy. W roku 1962 dzięki pełnemu poparciu tego pomysłu przez władze powiatowe ukazał się w Wydawnictwie Literackim (przy jego życzliwej pomocy) tom „Nad rzeką Ropą" zawierający szkice historyczne Józefa Baruta, Stanisława Motyki i Tadeusza Sławskiego. Znalazły się tam prace: „Biecz i dawna ziemia biecka", „Gorlice, notaty z historii budownictwa Małego Gdańska" oraz „Wczoraj i dziś powiatu gorlickiego".

W trzy lata później pod tym samym tytułem i w tym samym Wydawnictwie Literackim wydano drugi tom serii. Tym razem był to zarys kultury ludowej powiatu gorlickiego, a więc monografia o charakterze etnograficznym. Zebrano w niej plon obrad sekcji etnograficznej działającej w czasie sesji naukowej w Gorlicach, zorganizowanej w dniach 2 i 3 maja 1964 roku. Ten bogaty plon zawdzięcza region gorlicki badaniom prowadzonym przez Instytut Sztuki PAN-u a później przez Katedrę Etnografii i Etnologii Wydziału Humanistycznego UMCS w Lublinie pod kierunkiem prof. dr Romana Reinfussa. Prof. Reinfuss był zresztą inspiratorem i redaktorem naukowym publikacji. Znalazło się w niej ponad 20 rozpraw 11 autorów, w tym oprócz prof. Reinfussa i zespołu jego współpracowników z Instytutu Sztuki i Katedry UMCS ogłosiło także prace kilku autorów miejscowych (m. in. Wanda Kłapkowska, Alfred Wacławski, Adam Wójcik). Książka przynosi bardzo bogate, źródłowe materiały, dotyczące zajęć ludności, budownictwa, stroju, zwyczajów, wierzeń, przesądów oraz sztuki i literatury ludowej niezwykle interesujące ze względu na specyficzne pogranicze pogórzańsko-łemkowskie, z którego ten region był kiedyś znany. Książka, podobnie zresztą jak poprzednia, odznaczała się pięknym kształtem edytorskim — płócienna oprawa z lakierowaną obwolutą, dobry papier i bardzo bogaty zestaw ilustracji (163 zdjęcia) czasem o bezcennej wartości dokumentalnej. Nie ma chyba potrzeby szeroko się rozwodzić nad wartością tego rodzaju monografii w okresie postępującej bardzo szybko integracji cywilizacyjnej i kulturalnej ludności wiejskiej i miejskiej — nieuchronnego zanikania specyficznych podkultur regionalnych. Ze słuszną dumą stwierdzają we wstępie książki gospodarze powiatu: „Prawdopodobnie w skali krajowej jesteśmy jedynym powiatem, który tak szeroko potraktował zagadnienia kultury ludowej".

I wreszcie najbardziej okazały trzeci volumin z serii „Nad rzeką Ropą" liczący przeszło 800 stron ukazał się 2 miesiące temu, jak zawsze bardzo starannie wydany przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Duży zespół autorów (17), tym razem kreśli bardzo szczegółowy obraz dziejów regionu od czasów najdawniejszych do pierwszych lat po II wojnie światowej. Kilku autorów, mimo iż pracuje obecnie w krakowskich i warszawskich instytucjach naukowych, spłaca piórem dług wdzięczności swoim rodzinnym stronom, gdyż z tego regionu wyszli (np. Zbigniew Tabaka z Bobowej, Marian Zgórniak z Gorlic, Stanisław Cynarski i Feliks Kiryk z Podkarpacia) pozostali to znani historycy regionaliści z Gorlickiego i Rzeszowa.

Tom otwiera cenna wyczerpująca praca Tadeusza Sławskiego: „Gorlickie w świetle źródeł i dotychczasowych badań". Okazuje się z jego ustaleń, iż ten region miał dużo szczęścia do monografistów, historyków, badaczy naukowych i został na ogół wyczerpująco opisany w literaturze naukowej. Sławski zestawia w przypisach bardzo bogatą bibliografię prac związanych z Gorlickiem. Problematyką tego terenu zajmowali się Franciszek Bujak, Stanisław Tomkowicz, Szczęsny Morawski, Włodzimierz Budka, Wacław Urban, F. K. Latinik, Roman Rybarski, Maria Dobrowolska, Krystyna Pieradzka i wielu innych — bądź to znanych uczonych, bądź skromnych przyczynkarzy, których wysiłek wzbogacał wiedzę o regionie. Szczególnie dużo pisano o najstarszym grodzie tych stron, Bieczu. Wiele cennych materiałów pamiętnikarskich pozostało w rękopisach i chyba zasługuje na edycję w jakimś wyborze (zbiory po zmarłym Alfredzie Wacławskim).

Trudno ze względu na brak miejsca wymieniać w tym artykule wszystkich autorów rozpraw zawartych w książce, tym bardziej trudno ustosunkowywać się do poszczególnych prac merytorycznie. Prowadzą nas oni od zagadnień archeologii i wczesnego osadnictwa przez problematykę społeczno-ekonomiczną, prawno-ustrojową, polityczną, kulturalną i demograficzną tych ziem w średniowieczu, wieku XVI, XVII i XVIII do dziejów najnowszych XIX i XX w.

Z historii najnowszej na szczególną uwagę czytelników zasługują prace na temat ruchu komunistycznego i ruchu socjalistycznego w powiecie (Paweł Karp, Jerzy Zawistowski) i ruchu ludowego w okresie międzywojennym (Tadeusz Kowalski i Ludwik Dusza), gdyż po raz pierwszy ukazują te problemy w tak pełnym wymiarze. Wszystkich miłośników architektury i turystów zainteresuje także bardzo szczegółowy szkic Ryszarda Brykowskiego o zabytkach architektury powiatu ze szczegółowym (o 147 pozycjach) inwentarzem tych zabytków. Jak w poprzednich tomach, tak i tu zestawiono bardzo bogatą ikonografię (175 zdjęć, reprodukcji i rysunków) i oprawiono książkę w płótno. Wydawnictwo Literackie zasługuje na wyrazy uznania za opiekę nad gorlicką serią wydawniczą pod względem edytorskim, co przy tego rodzaju pracach zbiorowych jest szczególnie trudne. Za ten tom wdzięczność należy się redaktor Zofii Zaneckiej. Recenzentami i konsultantami naukowymi książki był prof. Marian Tyrowicz i doc. Wyrozumski.

Mimo że Gorlice godnie już uczciły trudem badawczym i edytorskim zbliżający się jubileusz 25-lecia PRL działacze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Gorlickiej myślą już o wydaniu czwartego tomu serii, który obejmie czasy najnowsze. To będzie chyba najtrudniejsze zadanie, ale warto życzyć im pełnego powodzenia w zakończeniu wartościowego dzieła. I warto również, by inne, nie mniej prężne ośrodki kulturalne województwa podjęły tę inicjatywę i by władze powiatowe i wojewódzkie wszelkimi możliwymi środkami wspierały takie zamierzenia.

Studium wiedzy o teatrze i filmie dla nauczycieli polonistów

Staraniem Wydziału Kultury Prez. WRN, Okręgowego Ośrodka Metodycznego i Wojewódzkiego Domu Kultury, w Rzeszowie rozpoczęło działalność studium wiedzy o teatrze i filmie dla nauczycieli języka polskiego w szkołach województwa rzeszowskiego. Zostało ono zorganizowane z myślą o pogłębieniu wiedzy nauczycieli z tego zakresu, która może być wykorzystana w trakcie nauczania, a tym samym przyczyni się do rozszerzenia wśród młodzieży kręgów miłośników sztuki teatralnej i filmowej.

Pierwsze zajęcia rozpoczęły się w dniu 19 lutego br. w małej sali Teatru im. W. Siemaszkowej. Otwarcia studium dokonał kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN Władysław Czajewski a następnie wykład nt. „Teatr i widownia" wygłosił kierownik literacki Teatru im. W. Siemaszkowej mgr Jerzy Pleśniarowicz. Dyrektor tej placówki Stanisław Bieliński podzielił się natomiast ze słuchaczami uwagami na temat realizacji Hamleta, który jest obecnie grany w rzeszowskim teatrze. Uczestnicy zajęć zapoznali się także z urządzeniami teatru i jego zapleczem. Na zakończenie wyświetlono film oświatowy o zamku w Elsynorze oraz zestaw wykonań monologu Hamleta (Gogolewski, Hanuszkiewicz, Holoubek i Łapicki). **(stanski)**

KSIĄŻKI

Jerzy Klechta: Z WALK GL I AL W WARSZAWIE. 1942—1944. MON. s. 164, cena 8 zł. Seria: Bitwy, Kampanie, Dowódcy.

Stanisław Szenic: WALKI O WARSZAWĘ. 1656—1657. MON. s. 188, cena 8 zł. W serii: Bitwy, Kampanie, Dowódcy.

Andrzej F. Grabski: BOLESŁAW KRZYWOUSTY. 1085—1138. MON. s. 172, cena 8 zł. W serii: Bitwy, Kampanie, Dowódcy.

Tadeusz Kłossowski: DOMOWE WYROBY MIĘSNE. Wykorzystanie i utrwalanie mięsa oraz wyrobów mięsnych w wiejskich gospodarstwach domowych. Wyd. Przem. Lekkiego i Spożywczego. s. 136, cena 14 zł.

Stanisław Golewski: KWESI. Wyd. Łódzkie. s. 134, cena 10 zł.

Polski naukowiec, chemik, przebywał w latach 1962—1964 w Ghanie, gdzie był wykładowcą na Uniwersytecie w Kumasi. Książka ukazuje w sposób bardzo bezpośredni i żywy koloryt i atmosferę dzisiejszej Ghany.

Adolf Gawalewicz: REFLEKSJE Z POCZEKALNI DO GAZU. Ze wspomnień muzułmana. Wyd. Literackie. s. 168, cena 20 zł.

Spora jest literatura obozowa. Jednak prezentowana pozycja jest nieco inna. Mianowicie uderza duży ładunek psychologiczny, próba zrozumienia psychiki więźnia, konfrontacja z dzisiejszym odczuciem.

Wojciech Adamiecki: GIEŁDA BOHATERÓW. Iskry. s. 228, cena 10 zł.

„Na skrzydełku" autor pisze: „Życie reportera krajowego polega na wędrowaniu po Polsce i pisaniu o tym co się zobaczyło i słyszało... Z takiego wędrowania w ciągu kilku ostatnich lat powstały reportaże zawarte w niniejszym tomiku. Mówią one o ludziach, których spotkałem".

Harti et Born: PIENIĄDZ JEST DOBRYM SŁUGĄ. Przeł. C. Dmochowska. Iskry. s. 352, cena 18 zł.

„Pieniądz jest dobrym sługą, ale złym panem", mówi bretońskie przysłowie, które za motto swej książki wzięli Czesi: Brzetislav Harti i Adolf Born. Pierwszy pisał, drugi ilustrował. Ekonomia polityczna, ale potraktowana inaczej niż zwykle.

Lew Bobrow: NA TROPIE SENSACJI. Przeł. J. Herlinger. Iskry. s. 314, cena 15 zł.

Nie! to nie jest „kryminał". Chodzi mianowicie o sensacje naukowe. Konkretnie o sześć sensacji. Np. czy można odmłodnieć pijąc wodę z topionego śniegu? Kiedy nastąpi koniec świata? Jakie skutki wywołuje noszenie bransolet? I inne.

Jan Leżachowski: DOLINA DZWONÓW. Iskry. s. 220, cena 12 zł.

Autor urodził się przed 31 laty w Leżachowie, w naszym województwie. Jest to jego drugi tom prozatorski, po debiutanckiej książce „Zabrońcie się żegnać", która spotkała się z przychylnym przyjęciem krytyki. Pisana w formie listów. Współczesna. Psychologiczna.

Jerzy Bohdan Rychliński: GALEON KAPITANA MORY. MON. s. 516, cena 45 zł.

Autor jest laureatem nagrody ministra obrony narodowej. Nagrodzona jest również książka. Część druga stanowi powieść „Fama kapitana Mory". Obie powieści drukowane są w omawianym tomie. Dzieje polskiej floty za czasów Zygmunta III Wazy.

Wiktor Koniecki: KTO PATRZY W CHMURY. Przeł. W. Jurkiewicz. PIW. s. 236, cena 15 zł.

Czterdziestoletni dziś pisarz radziecki znany jest polskiemu czytelnikowi. Ukazuje mocne sylwetki, ludzi jak u Londona czy Curwooda. Wielowątkowa powieść z lat 1942—1966. W oblężonym Leningradzie, na dalekim zapleczu walczącego kraju, w kopalni, na statku.

William Heinesen: CZARNY KOCIOŁ. Przeł. M. Kłos - Gwizdalska. Wyd. Poznańskie. s. 328, cena 25 zł.

Pisarz duński starszego pokolenia. Akcja tej powieści rozgrywa się na Wyspach Owczych w czasie drugiej wojny światowej. Tłumaczona była na wiele języków. Wybitne dzieło literatury skandynawskiej.

Torborg Nedreaas: MUZYKA NIEBIESKIEJ STUDNI. Przeł. A. Kołaczkowski. Wyd. Poznańskie. s. 276, cena 22 zł.

Pisarka norweska starszego pokolenia prezentuje swym czytelnikom interesujące studium psychiki dziecka, dziewczynki. Pierwszy i drugi dziesiątek lat naszego stulecia. Zwykła historia zwykłej dziewczynki.

J. i F. Bernasiowie: PIĄTA BOMBA. MON. s. 204, cena 12 zł.

W serii „Labiryntu" powieść sensacyjna, której akcja rozgrywa się w sierpniu 1939 roku. Tematem jest walka polskiego kontrwywiadu z hitlerowską dywersją.

Elspeth Huxley: MORDERSTWO NA SAFARI. Przeł. J. Ros. Iskry. s. 248, cena 22 zł. „Srebrny Kluczyk".

Tego jeszcze chyba nie było. Bogata rodzina urządza kosztowne polowanie w samym sercu Afryki. Detektyw w takich warunkach musi wykryć kto jest sprawcą zbrodni, i to niejednej.

Włodzimierz Wieczorek: ROZBROJENIE. Teoria i praktyka. KiW. s. 292, cena 30 zł.

Wacław Sadkowski: DROGI I ROZDROŻA LITERATURY ZACHODU. KiW. s. 458, cena 45 zł.

Czterdzieści szkiców krytycznoliterackich o współczesnej prozie beletrystycznej na Zachodzie.

Franciszka Świetlikowa: KOMUNISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA POLSKI 1918—1923. KiW. s. 396, cena 40 zł.

Zenon Mendrygrał: 1000 SŁÓW O RADIU I ELEKTRONICE. MON. s. 348, cena 28 zł.

Józef Kuczewski: OBSŁUGA CIĄGNIKÓW ROLNICZYCH. Wyd. II uzup., PWRiL. s. 216, cena 16 zł.

Henryk Jasiorowski: MLECZNA KROWA. PWRiL. s. 168, cena 17 zł.

Kartki dla Ewy

Zabawki

Dzieci uwielbiały pajaca Kubę. Jego zadarty nos i zielona skóra w białe kwiatki budziły podziw. Każde chciało mieć go na własność. Biedny pajacyk, nadmiernie hołubiony szybko znalazłby koniec w śmietniku, gdyby nie dorośli. Orzekli, że nie wypada nosić kwiecistej skóry i zafundowali Kubie nową koszulę. Czar prysł, Kuba przestał być atrakcją, a stał się tuzinkowym produktem przemysłu zabawkarskiego.

Takich bubli mamy całe kopy. Zawalone są nimi wystawy i półki sklepowe. Rewelacje trafiają się tylko od czasu do czasu. Godzinę, dwie bywają w sklepie praktyczne lalki, dowcipne kukiełki, piłki, klocki i „sprzęt zmechanizowany". Nielicznym, dysponującym akurat gotówką udaje się kupić dla swoich dzieci te cuda techniki zabawkarskiej. Inni odchodzą z kwitkiem.

Ładne zabawki są drogie. Kupując pytamy sami siebie, jak długo dziecko będzie korzystać z elektrycznej kolejki i nakręcanego helikoptera. Cena dyktuje ostrożność w użytkowaniu, zdrowy rozsądek coś innego. Zabawka uczy myśleć, rozwija zainteresowania, niechże więc dziecko rozbierze ją nawet na czynniki pierwsze. Ciekawość jest drogą do wiedzy i dzisiejszy majster-popsuj może być jutro genialnym konstruktorem. Chwilami trudno nam się z tym pogodzić. Przezorni rodziciele trzymają pod kluczem miniaturowe limuzyny i wywrotki. Wolno się nimi bawić przy gościach, lub gdy tata ma dobry humor.

Tata buduje rozjazdy i tory przeszkód, urządza karambole, nurkuje pod tapczan za lokomotywą, a syn ziewa od ucha do ucha. Taka zabawa nie ma treści wychowawczych. Symbolizuje raczej chęć powrotu do dzieciństwa, jaka tkwi w podświadomości dorosłych. Na tej zasadzie mamy szyją lalkom swoich córek wystrzałowe kreacje. Z pietyzmem lokują na kanapach smutne kolombiny i hoże krakowianki. Przechowują lalczyne serwisy by się nie rozbiły, a małe dziewczynki bawią się fiolkami z lekarstw.

Zabawy dziecięce są pełne symboliki i fantazji. Kawałek powroza bywa jadowitą żmiją a zwykły kamień cennym minerałem z tajemniczej jaskini. Odkurzacz zmienia się w aligatora, a szal babci w motyle skrzydła. Mimo tego o prawdziwych zabawkach zapominać nie wolno. Nie trzeba ich wiele, gdyż w nadmiarze przedmiotów dzieci czują się zagubione. Wystarczy kilka sztuk, odpowiednich dla wieku i samodzielnie wybranych. Zabawki szybko się dezaktualizują i każde pokolenie pasjonuje się czymś innym. Nasze gusty zaś często są nieaktualne.

Jeden z amerykańskich rysowników zilustrował opowiastki dziecięce groźnymi smokami i dziwadłami. Książki nie chciano wydać, ale kiedy się wreszcie ukazała zachwyciła dzieci. Wątpię jednak, czy zrobiłaby wrażenie na naszych malcach. Przyzwyczaiły się do widoku szmacianych potworków z wodogłowiem i kończynami pająka. Nie reagują na prosiaki z gąbki i inne ponure zwierzęta o zawistnych pyskach. Pozwalają się nimi obdarzać, a same odwiecznym zwyczajem magazynują rupiecie, bo to „skarby" i „majątek". Dręczenie, zaśmiecają szuflady, ale nade wszystko kochają Gapcie, Kuby, Michałki i Petronele. Takie, które można wykąpać w Ixi, wystrzyc do gołej skóry, ubrać w starą pończochę i pomalować na fioletowo.

Zapobiegać temu, dziwić się i ględzić nad marnotrawstwem nie wolno. Lepiej przypomnieć sobie, a także niektórym producentom starą, ludową bajkę o wole i cielęciu.

BEGA

DAMAZY KWIATKOWSKI — reporter TV i CAF.
Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

PUSTELNIK: Wiersze niestety, nie nadają się do druku z dwóch przyczyn. Są jeszcze niedojrzałe formalnie, niedostatecznie ukształtowane artystycznie, a także zbyt mizantropijne i rozpaczliwe w tonie. Za dużo w nich łez, goryczy, jadu, nicości, pustki, rozpryśniętych złudzeń. Trudno nam uwierzyć, by istotnie taki był stosunek Pana do rzeczywistości — chyba to tylko poza liryczna, lub wyraz chwilowego nastroju.

M. G. — SZCZAWNE — pow. Sanok: Wprawdzie „Widnokrąg" omawia i recenzuje książki, które się ukazują w księgarniach, ale nie prowadzi ich sprzedaży. Książki, o które Pan nas prosi można kupić w księgarni w Sanoku, lub w innych księgarniach województwa.

„FANFAN": Ma Pan widocznie dużo wolnego czasu, mimo iż podaje się za inżyniera pracującego w Gorlicach gdyż, przepisuje Pan strofy z „Pana Tadeusza" i podaje za własne wiersze. Jeśli to miał być dowcip, to trzeba przyznać, że niezbyt jak na „inżyniera" oryginalny.

J. W.: Istotnie pełnej oceny wierszy „Dialektyka" i „Ewolucja" nie podejmujemy się chociażby dlatego, iż rękopis jest mało czytelny, ale sądzimy, że ma Pan coś do powiedzenia o współczesnym świecie. Warto pisać dalej.

LITWIN: Bardzo nas przeraził wiersz „Ściana śmierci", gdyż jest to chyba głos zza grobu. Czytamy w nim rozstrzelaniu autora utworu, który zapewnia: „Lecz wy, coście po mnie zostali innym przekażcie, żem nigdy was nie zdradził, a zginąłem za was dziś właśnie". I po śmierci napisał Pan ten wiersz? Jakoś straszno!

T. A. KROSNO: Niestety, książka Z. Ruty „Szkoły Tarnowskie w XV—XVIII wieku, o którą Pan pyta nie dotarła do nas. Nie publikowaliśmy także żadnego omówienia tej pracy.

E. M. Jarosław, „AVA GARDI", J. Z. B. — Ropczyce, J. CZ. Bystra, pow. Gorlice, ARTUR F. Rzeszów: Nie skorzystamy. Nie warto łudzić się nadzieją na sukcesy w poezji.

ZDARZENIA TYGODNIA

W dniu 18 bm. odbyło się w Rzeszowie plenarne posiedzenie Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, poświecone omowieniu zagadnień amatorskiego ruchu artystycznego w działalności organizacji.

W wyniku referatu i dyskusji sprecyzowano wnioski do dalszej pracy w środowisku wiejskim, a m. in. w sprawie rozszerzenia form artystycznych krzewienia wiedzy o sztuce. Wysunięto także pod adresem zainteresowanych organizacji i instytucji postulaty zmierzające do koordynacji działania oraz zwiększenia pomocy młodzieżowemu ruchowi artystycznemu na wsi.

* * *

21 lutego odbył się w sali WDK w Rzeszowie kolejny koncert symfoniczny, zorganizowany przez Państwową Filharmonię im. A. Malawskiego. Orkiestrą dyrygował, goszczący już po raz trzeci w Rzeszowie rumuński (Jassy) dyrygent George Vintila. Oprocz orkiestry, która wykonała „Symfonię szkocką" F. Mendelssohna i „Dialogi dramatyczne" współczesnego kompozytora rumuńskiego D. Bughici wystąpił zespół „Trio krakowskie", Jerzy Łukowicz (fortepian), Krzysztof Okoń (wiolonczela) i Antoni Cofalik (skrzypce) wykonali „Koncert potrójny" L. v. Beethovena.

* * *

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie udostępniona została zwiedzającym interesująca wystawa, zatytułowana „Strój kobiecy na przełomie XIX i XX wieku", na której zaprezentowano bogaty zestaw ubiorów kobiecych, będących w posiadaniu tej placówki.

Oprócz strojów ekspozycja zawiera liczne drobiazgi uzupełniające, jak parasolki, naszyjniki, ozdoby do kapeluszy, korale itp. przedmioty.

Niektóre zestawy ubiorów przedstawione są na planszach, wykonanych na podstawie zachowanych w Muzeum fotografii i rysunków. Autorem scenariusza jest mgr Renata Knotz, a oprawę plastyczną przygotowała Krystyna Sus.

* * *

W dniu dzisiejszym, tj. w sobotę, przybędą do naszego województwa członkowie Klubu Reżysera Amatora, działającego przy Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie.

W trakcie trzydniowego pobytu na Rzeszowszczyźnie spotkają się oni z zespołem Towarzystwa Dramatycznego „Fredreum" w Przemyślu, członkami Teatru Poezji PDK w Sanoku oraz obejrzą „Rzeszowską szopkę" w wykonaniu zespołu ZDK WSK w Rzeszowie. Przewidziane jest także spotkanie z dyrekcją WDK i zarządem miejscowego Klubu Reżysera Amatora, podczas którego zapoznają się z dorobkiem amatorskiego ruchu teatralnego na Rzeszowszczyźnie.

W ubiegłą sobotę w Uniwersytecie Ludowym ZMW we Wzdowie odbyła się uroczystość zakończenia kursu dla gospodarzy klubów „Ruch". Około 40 osób po trzy i półmiesięcznym przeszkoleniu udało się do swoich miejscowości, gdzie po zdobyciu niezbędnych wiadomości, będzie rozwijać pracę kulturalno-oświatową. Potwierdzeniem nabytych umiejętnosci był udany występ zespołów pieśni i tańca z folklorem rzeszowskim i estradowego, w których skład wchodzili uczestnicy kursu oraz młodzież z okolicznych miejscowości. W ten sposób UL przyczynia się także do aktywizacji środowiska, w którym działa.

W województwie rzeszowskim przebywa zespół „Estrady Łódzkiej", prezentując komedie muzyczną „Noc poślubna" Erica Viviana Tidmarsha. W programie występują: Iga Strzelecka, Barbara Więckowska, Mariusz Kwiatkowski, Jerzy Stasiewicz i Andrzej Tyralewski.

Zespół występuje na Rzeszowszczyźnie od 15 bm. i będzie jeszcze przebywał do 27 lutego.

Na naszym ekranie

„Samotność we dwoje"

Czym się właściwie kierował reżyser Stanisław Różewicz, przenosząc na ekran mało znane opowiadanie Karola Konińskiego pt. „Straszny czwartek w domu pastora"? Akcja „Strasznego czwartku", według którego powstał film Różewicza „Samotność we dwoje", toczy się na początku naszego stulecia, w małym miasteczku w Beskidzie Śląskim. Jest to historia protestanckiego duchownego którego ciężko doświadcza los. Początkowo życie pastora Hubiny układa się zresztą jak najlepiej — ma on dobrze zagospodarowany dom kochająca go piękna żonę, zdrowe i mądre dzieci, słowem, może się uważać za człowieka szczęśliwego, któremu Bóg błogosławi. Ale oto pewnego dnia następuje katastrofa, która poprzez reakcję łańcuchową wyzwala dramatyczne konflikty i ujawnia całe zło, na którym zbudowane było bogobojne, szczęśliwe życie rodziny pastora. Rzecz jest utrzymana w mrocznej atmosferze, podszyta metafizyką i pełna biblijnych symboli, co oczywiście dla współczesnego czytelnika nie jest szczególną atrakcją.

Jednakże reżyser Różewicz dopatrzył się tu walorów uniwersalnych. Odrzucił całą metafizykę oryginału i przedstawił historię pastora Hubiny w konwencji melodramatu, przenosząc jednocześnie akcję w okres poprzedzający bezpośrednio wybuch drugiej wojny światowej.

Różewiczowi, jak można przypuszczać, nie chodziło o sam dramat pastora, którego opuszcza żona i któremu w tragicznych okolicznościach umiera dziecko, lecz o jakąś metaforę i uogólnienie, o ukazanie losu człowieka nie przygotowanego na ciosy, które niesie życie. Oczywiście, nie tylko życie osobiste. W domu pastora zjawia się przecież demoniczny nauczyciel muzyki, który głosi teorie faszystowskie i który jest zwiastunem katastrofy wojennej.

Niestety, alegoryczna wymowa filmu jest nader wątpliwa i mimo wszystko dominuje konkretny dramat — historia protestanckiego duszpasterza. Po prostu nie jesteśmy przekonani, że to i o nas chodzi, nie czujemy żadnego powinowactwa duchowego z pastorem Hubiną i ponadto na jego dramat patrzymy z tak wielkiego dystansu, że o uczuciowym zaangażowaniu nie ma mowy. Jego niepokoje nie są naszymi niepokojami, jego klęski są nam obce.

Przyczyny należy się chyba doszukiwać w zbyt daleko posuniętej umowności bohatera i innych postaci. Bądź co bądź pastor, to postać za bardzo dla nas egzotyczna, byśmy mogli bez zastrzeżeń zakładać, iż jego doświadczenia mają jakieś związki z naszym życiem. Zakrawa to wręcz na paradoks, ale świetnie przez Mieczysława Voita naszkicowana sylwetka pastora, jego sugestywna gra i uwieńczone pełnym sukcesem wysiłki, by Hubinie nadać jak najwięcej cech ludzkich, jeszcze bardziej oddalają od nas tę postać w sensie alegorycznym. Im więcej prawdy jest w pastorze, tym mniej się z nim czujemy związani.

Inaczej przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o postać jego antagonisty, von Kschitzky'ego, czyli owego muzyka, który w nieco naciąganych okolicznościach przyjeżdża z Pragi do miasteczka w Beskidach, by uczyć tu gry na fortepianie córeczkę pastora. Ta postać jest już w scenariuszu naszkicowana trochę groteskowo. Muzyk, artylerzysta marzący o bombardowaniu miast hitlerowski filozof, arogant i uwodziciel — to jednak trochę za wiele. Nawet tak utalentowany i doświadczony aktor jak Ignacy Gogolewski nie mógł się uporać z tą rolą. Von Kschitzky to demon groteskowy — nie jest on groźny, lecz zabawny.

Dość przekonywająca jest natomiast Barbara Horawianka jako żona pastora, ale i ta rola jest potraktowana w scenariuszu trochę dziwacznie, w sposób na pewno nie ułatwiający aktorce psychologicznej motywacji postępowania bohaterki, której wiarołomstwo na przykład, można opacznie zrozumieć, raczej jako kaprys niż jako reakcję na postawę jej męża. Jedyną właściwie postacią z prawdziwego zdarzenia jest w „Samotności" Barbara Wałkówna w małym zresztą epizodzie.

Tak więc z wielkich aspiracji twórcy niewiele zostało. Różewicz zrelacjonował nam wydarzenia mało interesujące, przedstawił dramat obcego nam człowieka, dramat raczej staroświecki zarówno jeżeli chodzi o klimat jak i o konflikty, ale nie zdołał temu dramatowi nadać rangi metafory nie wykrzesał współczesnych, ważkich treści. Oczywiście, jak wszystkie swe dotychczasowe filmy — zrealizował „Samotność" w sposób kulturalny lecz niestety na tym kończą się walory tego filmu.

CZESŁAW MICHALSKI